

BIUSZCZ.



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.



J. E. Ks. Wincenty Chościak Popiel

Arcybiskup Warszawski.

BISKUPI-JUBILACI.

W dniu 5 b. m. trzech biskupi nasi obchodzili 50-letni jubileusz kapłański: Najdostojniejszy Arcybiskup Warszawski J. E. ks. Wincenty Chościak-Popiel, Biskup sandomierski J. E. ks. Antoni Sotkiewicz i Biskup kielecki J. E. ks. Tomasz Kuliński. W dniu tym wszyscy trzech Jubilaci-Biskupi zanosili modły do Boga w uroczystej dla siebie chwili, a wierni korne ślali błagania do Przedwiecznego za zdrowie i pomysłność Dostojnych Jubilatów; w dniu tym zewsząd napływały życzenia gorące i serdeczne—i my się do nich przyłączamy, na cześć Ich wolać:

Ad multos annos!...

Przy tej sposobności zamieszczamy szczegóły biograficzne czcinygodniejszych Jubilatów, które bogobojny żywot Mężów Kościoła w należyty i jasnym przedstawiają obrazie.

W pięknym majątku rodzinnym, w powiecie miechowskim, w Czaplach Wielkich, dnia 29 Czerwca 1825 roku ujrzał światło dzienne nasz Arcybiskup, J. E. ks. Wincenty Chościak-Popiel. Ojciec Jubilata był posłem na sejm w 1818 r. i kasztelanem sandomierskim; matką była Zofja z hr. Badenich.

Otrzymał staranne wychowanie w pełnym cnót chrześcijańskich domu rodzicielskim, Dostojny Jubilat uczęszczał do słynnego w swoim czasie pensjonatu Józefa Kremera w Krakowie, z kąd przeniósł się do Warszawy, gdzie od r. 1841—1845 chodził na tak zwane kursa prawne, podówczas istniejące w naszym grodzie.

Kursa prawne zastępowały uniwersytet, którego wtedy u nas nie było. Każdy młody człowiek, czy czuł, czy nie czuł powołania do zawodu prawniczego, po skończeniu szkół zapisywał się na kursa, idąc za wrodzonym popędem do wyższego wykształcenia.

Na kursach prawnych Jubilat nasz kolegował z Józefem Blizińskim, Edwardem Leo, Antonim Wrotnowskim i wielu innymi. Stosunki koleżeńskie między młodzieżą były bardzo serdeczne, dowiódł tego zjazd wychowanców kursów prawnych, który się odbył przed dziesięciu laty w Warszawie, najgorętsze zostawiając po sobie wspomnienie.

Na kursach prawo cywilne wykładał prof. Dutkiewicz, historję rzymską Sz wajnic, starożytności klasyczne prof. Woelke i t. d.

Tutaj J. E. ks. Arcybiskup wczytywał się i wgłębiał w naukę prawa, rozszerzając coraz dalej widnokręgi swego niepospolitego umysłu. Skończył kursa, lecz nie poszedł drogą, która się wiązała z otrzymanym dyplomem. W głębi ducha inny odezwał się głos, który inne, najszczytniejsze wskazał powołanie.

Jubilat udaje się do Kielc, wstępuje do seminarjum duchownego i przygotowuje się do stanu kapłańskiego. Cztery lata studjuje nauki teologiczne, z gorliwością ogromną sposobiac się na księdza. W d. 5 Sierpnia 1849 r. z rąk Biskupa Sandomierskiego, ks. J. Goldmana,

otrzymuje święcenia kapłańskie. Dalsze studja odbywa w uniwersytecie w Lowanium i w Rzymie, zagłębiając się coraz bardziej zarówno w teologję św. jak i nauki świeckie. Kilka lat upływa na tych zajęciach, które uczyniły umysł Arcybiskupa błyszczącym jasną myślą i głęboką, prawdziwą wiedzą.

Powróciwszy do Kielc, został mianowany sekretarzem konsystorza i profesorem seminarjum. Wkrótce młody kapłan zwrócił na siebie uwagę: w r. 1853 zostaje kanonikiem krakowskim, w r. 1862 wice-rektorem b. akademji duchownej rzymsko-katolickiej w Warszawie.

Na każdym stanowisku zdobywa sympatję, szacunek i wpływ wywiera dobroczynny na wszystkich. Posiadając szerokie wykształcenie, umie spożytkować je, jako wice-aktor akademji, pracując wraz z ówczesnym rektorem, ks. Kossowskim, nad podniesieniem akademji przez powoływanie najzdolniejszych profesorów do piastowania wielkich obowiązków kształcenia i prowadzenia alumnów. Czas wice-aktorstwa J. E. ks. Arcybiskupa stanowi najświetniejszą kartę w dziejach akademji duchownej. Wkrótce jednak młody profesor musi opuścić akademję, powołany bowiem zostaje na stolicę biskupa w Płocku 1864 roku. W roku więc 39-ym życia na głowę swą Jubilat włożył Infułę a do ręki wziął Pastorał. Odtąd apostołskimi kroczy szlakami, Bogu, siebie i czyny swoje poświęca, wszystko Mu ofiarując...

W r. 1875 powołany zostaje na stolicę biskupią kujawsko-kaliską. Na tem stanowisku Jubilat rozwinął wielką dbałość o chwałę Bożą i pożytek duchowny wiernych, okazując troskliwość o stan świątyń Pańskich, zachęcając do odnawiania dawnych, do budowy nowych: sam dał piękny przykład, złożony na restaurację odwiecznej świątyni włocławskiej 40.000 rub. Jeden z biografów ówczesnej doby życia Jubilata mówi: „Był w towarzystwie ujmujący, tryskał zdrowym polskim dowcipem, umiał każdemu poświęcić kilka słów, ująć, zachęcić i ośmielić, a chociaż w zasadach niewzruszony, stanął odrazu na stanowisku dostojnika Kościoła“. Zyskał też w Włocławku i w Kaliszu (dokąd przybywał gorąco witany) powszechną miłość i szacunek dyecezan.

W marcu 1883 Ojciec św. na tajnym konsystorzu w Rzymie prekonizował 12 biskupów polskich, aby w ten sposób obsadzić wszystkie opróżnione stolice. Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński zrzeka się arcybiskupstwa warszawskiego, na które powołany zostaje Najdostojniejszy nasz Jubilat dzisiejszy. Szesnaście lat piastuje J. E. ks. Arcybiskup godność tę, znowu sobie zjednawszy miłość wiernych. Setki tysięcy dyecezan przez ten czas wybierzmował, uczył jak żyć i pracować należy, aby być Bogu miłym a światu i bliźnim pożytecznym. Dobroczynność warszawska zawdzięcza Arcybiskupowi dużo dobrego, zawsze bowiem o ochronkach i zakładach biednych pamiętał.

Jubilat w d. 5 b. m. o g. 9 rano odprawił nabożeństwo w kaplicy warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Do mszy asystowali Arcybiskupowi: ks. kanonik Dębicki i ks. kapelan Tymieniecki. Na nabożeństwie wśród obecnych znajdowała się emerytka z zakładu św. Kazimierza, która była świadkiem pierwszej mszy świętej ks. Wincentego Popiela w dniu 6 Sierpnia 1849 r. przed ołtarzem kaplicy szpitalnej św. Du-

cha w Sandomierzu. Chór małych wychowanek i wychowanców Towarzystwa Dobroczynności śpiewał podczas mszy jubileuszowej Arcybiskupa. W d. 7 b. m. Jubilat odprawił wotywę w kaplicy Pana Jezusa w katedrze św. Jana.

Niech nam Dostojny Jubilat przewodniczy w długie, długie jeszcze lata.

W Sandomierzu święcił złotą uroczystość swoją drugi Jubilat, J. E. Ksiądz Antoni Ksawery Sotkiewicz.

Przyszedł na świat we wsi Bardo, w powiecie opatowskim, d. 13 Stycznia 1826 r. Kształcił się najpierw w szkole powiatowej sandomierskiej, następnie zaś w gimnazjum kieleckim.

Jubilata widzimy już w 1842 roku w seminarjum duchownem w Sandomierzu; w r. 1846 zostaje słuchaczem akademji duchownej w Warszawie i kończy ją w 1850 ze stopniem doktora św. teologii.

Zdolności posiadając duże, otrzymuje zaraz stanowisko prefekta i profesora seminarjum w Sandomierzu. W r. 1853 zostaje wice-regensem tegoż seminarjum i asesorem konsystorza dyecezanego. Jubilat odznaczał się, zwłaszcza w kierunku znakomitej wiedzy teologicznej, objął też niezadługo katedrę prawa kościelnego w akademji warszawskiej; wykładał je aż do czasu zamknięcia akademji w 1867 roku.

W r. 1877 J. E. ks. Sotkiewicz został mianowany administratorem archidyecezji warszawskiej; na stanowisku tem doczekał się w r. 1883 stolicy biskupiej w Sandomierzu.

Światły umysł Dostojnego Jubilata zajmuje się z zamiłowaniem literaturą kościelną. Pisywał wiele do „Encyklopedji kościelnej“ oraz do „Przeglądu Katolickiego“. Zamiłowany również pedagog, wykłada Jubilat teologję pasterską w seminarjum Sandomierskiem.

Niech pracuje nam jak najdłużej...

W Kielcach tegoż dnia święcił jubileusz J. E. ks. biskup Tomasz Kuliński.

Najstarszy wiekiem z trzech Jubilatów, urodzony w Cmielowie w radomskim w r. 1823, skończył gimnazjum kieleckie. W r. 1843 wstąpił do seminarjum w Kielcach, studja teologiczne uzupełnił w akademji duchownej w Warszawie. W r. 1849 otrzymuje święcenia kapłańskie.

Wybitny umysł Jubilata zwrócił nań uwagę władzy duchownej, która go też zaraz powołała na stanowisko sekretarza konsystorza kieleckiego; w pół roku zaś potem obejmuje urząd regensa tegoż konsystorza. Przez lat sześć miewa w kolegiacie kieleckiej kazania i jednocześnie wykłada teologję dogmatyczną, katechetykę i fizykę w seminarjum kieleckim. Postępuje też w godnościach duchownych coraz wyżej: w 1855 mianowany zostaje kanonikiem lubelskim i asesorem konsystorza kieleckiego, w 1867 kanonikiem gremjalnym i oficjałem jeneralnym konsystorza; kiedy zaś w d. 20 Września tegoż roku

zmarł biskup kielecki, ks. Majerczak, Jubilat obejmuje administrację dyecezyj, której biskupem zostaje w 1883 r. Cześć i miłość otaczają Dostojnego Jubilata.

I On niech w winnicy Pańskiej pracuje *ad multos annos...*



NA WERENDZIE.

(POGAWĘDKA).

Wyobraźcie sobie dom duży, stary, o łamanym dachu, gontami pokrytym, o ścianach ciemnych z berwion modrzewowych w zrąb kładzionych; dajcie temu domowi dwa ganki, postawcie na ich rogach po dwa okrągłe, o potężnym obwodzie słupy murowane, pomiędzy którymi płacze się dzikie wino, obwija kolumny, po okratowaniu do góry pnie się i dosięga gżemsu, z kądem na dach się wspina, albo w pięknych festonach ku dołowi opada; połóżcie kamienne schody, postawcie stół dębowy, połączcie słupy ze ścianami domu murowanym siedzeniem; pod okapem domu zawieście gniazda jaskółcze, a teraz dom ten rzućcie na tło lip, pamiętające czasy... (Tu pozostawiam wam wybór dowolny) i nakryjcie go błękitem, tym błękitem, który po słońcu zachodzie zdaje się zwracać, zniżać, łącząc się z ziemią pocałunkiem spokoju wielkiego i ciszy.

Obraz jeszcze nie skończony, brakuje koncertu nocy...

Pierwsze hasło dał derkacz—odezwał się z pól niedalekich... Bąk basem zawtórował z trzciny nadbrzeżnych, zbudzony zaklekołał bocian, w powietrzu dała się słyszeć senna muzyka komarów, przenosząc się z miejsca na miejsce, wraz z tłumem latających owadów.

Koncert rozpoczęty, ale brak jeszcze kompletu orkiestry. Tak—rozumiesz to sam dobrze... Każ więc teraz odezwać się dwóm stawom. I oto na rozkaz twój koncert nocy jest w pełni: „kum—kum!“ jakąś skargą bolesną odezwało się w pewnym oddaleniu, sprzeciwił się temu wołaniu staw drugi, który zabrzmiął z całą namiętnością koncertu i gwarem napelnił powietrze.

Czy nie ci to nie przypomina?

Poczekaj! Każę nietoperzowi ciche, tajemnicze koło zakreślić, do twojej twarzy się zbliżyć i zwrócić się nagle i pierzechnąć; każę srebrnej strudze dwa stawy połączyć, lekkim spadem w dal spłynąć, na wody każdej warście sypnę „blasku miesięcznego garście“ i każę „świteziance usiąść i złocisty zdrój łać ze srebrzystego dzbanka...

A!...

Ten wieczór ci nie obcy—znasz gol... Brakuje tylko znaku niebieskiego, wróżb, wykładu konstelacji i odgłosu „Hajże — na Soplację!“

Tak—tak—tak— — —

W odbytej podróży swojej znalazłem dom podobny, żywy obraz, tak wiernie odbity w naszej pieśni nad pieśniami. I ciemnym pasem na horyzoncie puszcza się zarysowała i łuny srebrzyły się żytem i nad miedziami grusze siedziały.

Nie będę opisywał wam o doznanych wrażeniach wieczoru tego; choć mógłbym wyśpiewać — nie chcę, pozostawiam to wyobraźni waszej, duszy i sercu waszemu.

„Wilija naszych strumieni rodzico“ szklanemi nurtami lechtała mi stopy; czerpałem dłońmi przezroczyście wody Niemnu, z Słowackim zawołałem nawet:

Widzicie to wielkie błękitne przestworze?

To Trocki zamek, a to Trockie morze!

i byłem tam, gdzie:

Wilija w pięknej kowieńskiej dolinie
Wśród tulipanów i narcyzów płynie.

Rzuciłem też garść kwiatów na grób Syrokomli i z przepelnioną duszą wrażeniami najróżnorodniejszymi wróciłem do Warszawy na chwilę, by wnet ją porzucić i udać się znów na spoczynek letni do uroczego Kazimierza nad Wisłą.

Przeminięły obrazy, zostały tylko wrażenia i wspomnienia — wspomnienia drogie, wrażenia silne, obrazy piękne!

Przybywszy do Warszawy, spotkałem w niej bardzo wielu znajomych i przyjaciół swoich, którzy także z letniej powrócili wycieczki. Tylko gdy ja się zachwyciałem pięknnością jeziora trockiego, nieźrównanym błękitem jego fal, niepokalaną wodą przezroczyością, onbawili mnie opisem czarodziejskiej Rivieri, którą tak dobrze znają, jak... chciałem powiedzieć: dom własny, lecz zatrzymałem się w pół słowa, bo właśnie domu własnego nie zna się.

Kilkakrotnie w dziennikach naszych podnoszono myśl wycieczek towarzyskich dla poznania kraju. Zbiera się czasami niewielkie kółko amatorów podróży i—dokąd wyrusza?

Ojców, Kazimierz nad Wisłą—oto dwie miejscowości, o których najczęściej się mówi. Zda wałoby się, że nad Ojców i Kazimierz nie ma już nic godniejszego do widzenia, że na tem kończy się „obowiązek“ zapoznania się z krajem ojezystym.

Przejrzyjmy, choćby z ostatnich lat kilku, nasze pisma obrazkowe. Zamek ojcowski, Grota Łokietka, Pieskowa skała z maczugą Madejową, aż do znudzenia są powtarzane. „Z pamięci już je odrysujemy,“ czytamy w jednym liście pisanym do mnie. A tymczasem zaręczyć mogę, że widok ruin Gedyminowego zamczyska na jeziorze trockim — nie ustępuje w niczem piękności wzgórz Ojcowa, przewyższa zaś oryginalnością widoku i tą olbrzymią masą wód, świecąca dla malarza nieporównanym błękitem, pasami przechodzącym w zieleń morską, tak kryształowo czystą, że w parolokciowej głębi wszystkie kamyki na dnie policzyć możesz. Cóż mówić o Aleksocie lub Liksmie, o których to nazwach nie słyszeliśmy nawet?—coż mówić o widoku z Bekieszowej lub Trzechkrzyskiej góry, gdy nawet nie wiemy, jakie miasto u ich stóp spoczywa? Niejednemu z nas te nazwy brzmią tak obco, jakby z niemi żadne nie łączyło się wspomnienie.

— Jedźcie poznać — odezwałem się do grona znajomych, wróciwszy do Warszawy.

— A jakże! Organizuje się właśnie wycieczka.

— Dokąd wyruszać?

— Do Kazimierza nad Wisłą.

— I Ojcowa—dodałem.

— Z aparatem fotograficznym nawet—odpowiedziano z pewną dumą.

— Ach! jakie to cudne! — odezwał się głos zachwyty.

Ale czy rzeczywiście jest cudne—niktby nie mógł z ręką na sercu powiedzieć.

Przewodnikiem moim na Aleksotę, Liksmę i na Górę Napoleona był żyd, znający doskonale miejscowość.

— Dużo odwiedza te strony?—spytałem.

Wzruszył ramionami.

— Stare panowie odwiedzali, dziś pusto.

Obłok zakrył słońce i cień na twarz moją rzucił.

Jakkolwiek z powodu braku czasu, lotem ptaka musiałem podróż swoją odbywać, zwiedziłem niemały odłam kraju, a zwiedziłem sumiennie, bo i dużo się widziało i dużo się poznało ludzi. Prawda, że dzień dobry oddawałem pierwszy słońcu, że parę godzin czasu wystarczyło mi do zupełnego wywczasowania się, ale za to dzień był podwojony, kurierskie pociągi prznosiły szybko z miejsca na miejsce, wytrzymałość zaś w pieszych wycieczkach dopomogła do wykonania raz powziętego zamiaru.

Nie mogę tu nie wspomnieć o pewnej okolicy, którą nazwałem okolicą pachnącą. Jest nią, w mińszczyźnie, majątność księcia Druckiego-Lubeckiego, Nowe-Pole. Prześliczne lasy świerkowe, kołyszące się na wzgórzach i nad jarami

przenosiły pięknnością wszystkie parki ręką ludzką sadzone; obfitość zaś pachnących kwiatów i ziół była tak wielka, że zapachy unosiły się w powietrzu, jakby kto ogromną moc perfum rozlał i całe przestworze niemi wypełnił. Pachniał las, pachniało pole, pachniały łąki, aż zmysły się odurzały, a czoło chyliło się do snu marzeń. Uśmiechał się gościnnie gospodarz, gdy mówiłem, że Nowe-Pole pachnie. A jednak tak było. Wracając nocą ciemną z odwiedzin sąsiedzkich, gdy tylko wjeżdżałem w granice dóbr książęcych—po zapachu poznawałem, że byłem na gruntach Nowego-Pola. Tak pachnącej okolicy nie widziałem jeszcze, a i dawno nie doznawałem takiego ciepła gościnności starszylacheckiej, jak w domu księcia Druckiego.

Żałuję, że w przygodnej pogadance nie mogę nakreślić szczegółowszej kartki z podróży. Obowiązki kronikarskie wzywają mnie do suchości sprawozdań z miejscowego, warszawskiego bruku — do którego w chwili danej z niechęcią się wracam—a nawet nie zupełnie wrócić mogę, bo od miesiąca na miejskim bruku nie byłem, poczerpnięte zaś w przelocie tylko przez Warszawę wiadomości są albo niedostateczne, albo bardzo mało zajmujące. Mógłbym się wprawdzie zasilić kuryerami, lecz jeżeli do nich zazieram, to tylko po to, by się dowiedzieć o nieszczęsnym procesie Dreifusa — nie miałem zaś czasu do teatrów zajrzeć, a mało mnie interesuje jakaś Numa, która za Pompiliusza wyszła. Wiem tylko, że Warszawa wyludniła się potężnie, łatwo to poznać po zmniejszonym ruchu ulicznym; wiem, że teatr Rozmaitości już na swoje śmiecie powrócił i rozpoczął widowiska; że artyści pracują nad wystawieniem Cyrana de Bergerac, nowością nie nową, bo teatr Łódzki go nam zaprezentował i—nie bardzo zachwylił.

Czy gra artystów?

Niel artyści według sił swoich grali bardzo dobrze, ale poemat ten bohaterski, jako dzieło przeważnie literackie, jest stokroć piękniejsze w czytaniu, niżeli na scenie. Zbyt obcy jest dla nas bohater, zbyt obce są dzieje, ażebyśmy mogli całym sercem do nich przyłgnąć; gdy zaś piękność języka usuwa się w tło maczeniu (pana Londyńskiego) z pod uwagi naszej — fabuła nie wiele nas interesuje, dziwactwo zaś kompozycji niezupełnie nas zadawalnia. Wprawdzie ujrzymy wkrótce na scenie Maryę Stuart Słowackiego. Treść obca, ale autor nie obcy — i dla tego liczymy na powodzenie sztuki, której język brylantami jest utkany, której autor tak silnie jest zespolony z nami.

Po Maryi Stuart powinna na scenie Beatryks Cenci wystąpić, zdaje się niegrana dotąd w Warszawie wielka tragedia zbrodni, sceniczne arcydzieło. Znany tę sztukę z przedstawień krakowskiego teatru, za świetnych czasów Modrzejskiej i Hofmanowej. Pamiętamy dotąd wzruszenie, jakie nas ogarnęło, choć to będzie temu lat... lat...

Ach! jak te lata biegają!

Nie wdychaj, panie kronikarzu, lecz trzymaj się porządku opowiadania...

Bał powiedzieć to łatwo — trudniej wykonać. Myślą wciąż zwracam się do wspomnień doznanych w odbytej niedawno podróży, do wspomnień i wrażeń, z którymi, niestety! podzielić się z wami, łaskawi czytelnicy moi, nie mogę.

Wiecie o pożarach, które nawiedziły różne strony kraju naszego. Spaliły się Prużany, byłem świadkiem pożaru Grodna. Potworzyły się ratunkowe komitety, przybywający z pomocą przeważnie kłęską ognia dotkniętej ludności żydowskiej. Wczora, t. j. d. 10 Sierpnia zajaśniała szeroko luna na horyzoncie. Widziałem ją z obecnego swego mieszkania w Kazimierzu — co i gdzie się paliło, nie wiem jeszcze!

Przepysznie na tle ognia dalekiego odbijały się mury zamczyska i samotna baszta na szczycie góry. Z tej baszty widziano nieraz ognie podobne stokroć jeszcze groźniejsze, bo napadów tatarskich albo kozackich. Krwawa luna niosła groźną wieść wojny, w umyśle ówczesnych ludzi zarysowywały się mordy i gwałty, czekano

królewskich wici z bijącym sercem i pragnieniem zemsty...

Panie kronikarzu, czy piszesz poemat?

Ach prawda!

Tatarów nie ma—to dobrze!—mordów i gwałtów nie ma—to także dobrze!—niczyje serce zemstą nie uderza—to także miła pociecha. Lepsze są czasy, lepsze! Siedzmy sobie spokojnie na werendzie i czytamy kuryera.

„Często długo kołacze się ten lub ów projekt w gronie ziemian, zanim przystąpią do jego urzeczywistnienia. Projekt ten często witany bywa z entuzjazmem, obiecują sobie po nim wiele, rozprawiają o nim jeszcze więcej, ale gdy przyjdzie chwila pracy, ogląda się jeden na drugiego i... projekt idzie w zapomnienie!..”

Tło nasze—takie proste, takie przyjemne do pogawędki kronikarskiej. Z wielkim zajęciem czytamy dalej:

„Małą próbkę czegoś podobnego miano świeżo w okolicy Lipna, gdzie od roku już rozprawiano o założeniu centrifugi i młeczarni. Jak pisał do „Ech“, odbyło się kilka zebrań, na których poruszono rozmaite projekty. W końcu okazał się najpraktyczniejszym wniosek, aby wynaleźć przedsiębiorcę, który postawiwszy na własne ryzyko fabrykę w Lipnie, byłby stałym odbiorcą mleka na całą okolicę. Niebawem znalazł się poszukiwany przedsiębiorca w osobie p. K. S. z Nakłą; firma znana, gdyż posiadacz już takich sześciu zakładów w Prusiech. Zebranie, w celu porozumienia się z p. K. S., na miesiąc naprzód naznaczono do Lipna na dzień 24 Lipca r. b. Rozumie się, że p. K. S. stawiał się co do godziny na umówionym miejscu, prosto jadąc z Karlsbadu; niestety tylko, że druga strona interesowana, to jest ziemianie, mając zaledwie kilka wiorst—nie dopisali, gdyż na 16 tylko czterech przyjechało.

„Pan K. S. ofertę zrobił dobrą, niestety, obecni na zebraniu właściciele majątków nie mogli przystąpić do umowy, gdyż reprezentowali zaledwie ilość 100 krów, gdy tymczasem minimalnie trzeba sztuk 400. Aby doprowadzić sprawę do urzeczywistnienia, ma odbyć się drugie zebranie w Sierpniu“.

Rzuciłem gazetę. Tego rodzaju wiadomości nie dodają humoru. Rozszerzcie granice tego niedbalstwa naszego a coś się wzburzy, zakotłuje wewnątrz i jutro czarnym kirem powlecze. Jedyną pociechą jest to, że nie wszędzie tak się dzieje. W okolicach, które tylko co opuściłem jest myśl, robota, powolna praca dla przyszłości i robią trochę większe rzeczy niż zaprowadzenie centrifugi i młeczarni. Mniej tam jest hałasu, lecz więcej skupienia się i rzeczywistej roboty. Na zjazdy ziemian, które mają rozstrzygać o jakiejś pracy społecznej, nie wolno się opóźniać, grzechem jest świecić nieobecnością. Wyobrażacie sobie ironiczny uśmiech p. K. S. z Nakłą, gdy z zapowiedzianych szesnastu sześciu tylko panów zastał. A narzekaniom naszym nie ma końca, choć wciąż powinny nam dzwonić w uszach słowa Krasickiego:

Trzeba się uczyć, przeminął czas złoty.

Wspominałem już na tem miejscu, o trwodze, jaka ogarnęła szlachetniejszy odłam społeczeństwa poznańskiego, z powodu rozwielmożnionego hazardu gry kartowej. Garska ucziwych ludzi nie poprzestała na walce w organach prasy, lecz postanowiła zwrócić się do samego społeczeństwa o współdziałanie, i oto utworzyło się „Towarzystwo przeciw hazardowemu“, którego zarząd składają osoby następujące: prezes M. Jackowski, wice-prezes dr. B. Kopniński, sekretarz dr. F. Zakrzewski, skarbnik B. Browstard, oraz członkowie: J. hr. Mielżyński, dr. Z. Szoldrzyński, ks. radca Mojżkiewicz, L. Holecz, Wł. Seyda, dr. Kożuszkiewicz, A. hr. Żółtowski i Z. Chłapowski.

Rozmiary pogawędki dzisiejszej nie pozwalają nam przytoczyć całości odezwy Towarzystwa, zamieszczamy tylko ważniejsze ustępy, które powiedzą nam o grozie położenia a i dla nas nauką może być:

„Założenie towarzystwa (słowa odezwy) nastąpiło skutkiem faktu wielostronnie sprawdzonego, iż nieszczęsna manja gry hazardowe

ogarnia coraz szersze koło. Dziś już nie tylko w sferach zamożniejszych grywają namiętnie w hazard, ale i w mniej zamożnych, nie tylko w pałacach i dworach, ale także po miastach i wiejskich zagrodach. Ile to rodzin zamożnych uległo zupełnej ruinie majątkowej przez kartciarstwo i grę hazardową. Lecz jeszcze większe nieomal, niż materialne, są szkody moralne, powodowane przez grę hazardową.

Oto dla skuteczniejszego osiągnięcia celu zamierza Towarzystwo działać nie tylko na wewnątrz lecz i na zewnątrz. Każdy przeto członek Towarzystwa musi przedewszystkiem sam wyrzec się gry hazardowej, nie cierpieć jej pod żadnym warunkiem w domu swoim, wpływać na blizkich sobie, aby się także gry hazardowej wyrzekli. Towarzystwo będzie się starało za pomocą broszur, odczytów i innych publikacji działać w myśl statutów. Mianowicie będzie dążyło do tego, aby upowszechnić zasadę, że ktokolwiek oddaje się grze hazardowej, nie jest godzien być przedstawicielem społeczeństwa w instytucjach czy to w publicznych czy to prywatnych, a zwłaszcza finansowych“.

Za wielkie snadź już straty poniosło poznańskie z powodu kart, gdy aż statutów potrzeba, aż wystąpienia jawnego, aż zatargania śpiącej opinii do wnętrza jej trzew.

??

BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Głos jej się załamał i zadrżał. Widocznie, gdzieś w głębi tego osieroconego serca zawrzał ból gwałtowny na myśl, że i ona mogłaby się być szczęście synami—dziś już ludźmi.

A Władysław ścisnął tymczasem w powitanie rączkę panny Zofii i mówił do niej z uśmiechem:

— Przypomina się pamięci pani przeszłorożny pielgrzym na odpust do Bogopola.

— Tylko że my już wiemy, że ów pielgrzym nie był pielgrzymem—zaśmiała się wesoło panna Zofia. A toż ładnie było z pana strony tak nas mistyfikować?..

Była to aluzja do zdarzenia, jakie miało miejsce wkrótce pozawarcie znajomości. Panie Roztworowskie wybierały się na doroczny odpust do kościoła w Bogopolu, oddalonego o parę mil od Orzeszkowic. Była mowa o tem, że gdyby nie panowały wówczas wielkie upały, to można by odbyć pielgrzymkę pieszo. Władysław uchwycił się tej myśli i w dzień odpustu przebywszy przestrzeń między Kamionką a Bogopolem konno i zostawiwszy wierzchowca u znajomego leśnika o parę wiorst od miasteczka, podszedł ku kościołowi pieszo. Panie nie chciały z początku wierzyć, ale widząc go po nabożeństwie oddalającego się przez pola również pieszo, zostały w istocie zdziwione. Władysławowi później trochę wstyd było przyznać się do mistyfikacji, więc prosił Anusię, aby podczas jego bytności w Warszawie wyjawiała całą prawdę tym paniom i prosiła w jego imieniu o przebaczenie.

Teraz—po roku—to zdarzenie wydawało się tylko wesołym i odrazu zawiązała niby nie wspólną między młodymi.

— Przepraszam panią jeszcze raz za studencki figiel.

A panna Zofia, patrząc śmiejącami się jeszcze oczyma w jego twarz, zapytała:

— A teraz pan po ukończeniu nauk spowadniał i nie pozwoliłby sobie na studencki e figle' jnieprawda?

Towarzystwo zaczęło się żegnać. Władysław uściśnął mocno rękę panny Zofii i jej uścisk wydał mu się równie serdeczny. Wymieniono zwykle wyrazy sąsiedzkiej grzeczności i dwa powozy odjechały z przed kościoła.

Po obiedzie i po przeminięciu południowego upału, Władysław wyszedł do ogrodu z Anusią, która chciała być ciągle przy bracie. Wypytywała go nieustannie o Warszawie, o owym „wielkim świecie“, którego była niezmiernie ciekawa i którego zazdrościła tajemnie bratu.

— Jacy wy chłopcy szczęśliwi!—mówiła z westchnieniem—ledwie podrośnięcie, to zaraz was oddają do szkół do jakiego wielkiego miasta i nauka jest dla was połączona z tylu różnemi rozrywkami i przyjemnościami miejskimi, o których my biedne na wsi nie mamy ani pojęcia. Mów mi, mów mi jeszcze co o Warszawie, o kolegach, o życiu, jakie tam pędzisz—o wszystkim, czy ja wiem zresztą, o czem... dla mnie życie w Warszawie wydaje się snem czarownym i zupełnie nie podobnym do naszego życia.

Przechyliła jasną główkę na ramieniu brata i patrzyła w jego oczy z miną rozpieszczonego dziecka:

— No, mów-że! mów—niedobry!..

— Dziecinna jesteś, Anusko—mówił Władysław z uśmiechem—zapewne życie w mieście posiada swoje przyjemności, jakich wiesz swoim mieszkańcom dać nie może, na przykład teatry, koncerty, liczne towarzystwo, ale wszystko to zajmuje narazie lub w pewnych tylko chwilach, poza któremi pozostaje dużo jeszcze wolnego czasu i jeżeli nie jest on wypełniony jakim miłym zajęciem, to ogarnia cię nuda okropna, że nie wiesz sama, dokąd uciec przed nią i co począć. Na wsi zajęcia znajdzie się jakieś zawsze, zresztą w wolnych godzinach można dużo chodzić po polach, po lesie, zachwycać się pięknymi widokami, zmęczyć się wreszcie, a wówczas przychodzi apetyt i uczuwa się całą przyjemność odpoczynku i snu. Wierz mi, że życie na wsi jest stokroć przyjemniejsze i nie tak nużące jak w mieście i zdrowsze o sto razy.

— A czy w miastach nie ma ogrodów, gdzieby można mieć taki spacer jak na wsi?

— Owszem, w Warszawie nawet w samym środku miasta jest ogród, nazywa się Saski. Ma duże, porządnie utrzymane ulice, kwiatowe klomby, fontanny i niewielki stawek, na którym pływają łabędzie.

— Prawdziwe, srebrzyste łabędzie? O jakże piękny musi to być ogród!

— Widzisz—starał się wytłomaczyć jej Władysław—ogród sam przez się jest ładny i wzorowo utrzymany, tylko że on nie robi wrażenia naszego na przykład ogrodu, w którym można by nawet zabłądzić w zaroślach, a pod każdą jablońnią masz gotowe, miękkie siedzenie na trawie. Tam zieleni stosunkowo niedużo, a największej miejsca zajmują ulice i place. Są wprawdzie na nich ławki, ale te są szczególnie zajęte przez tłum, składający się z warstw przeróżnych, drugi znów tłum wije się ciągle w alejach, tak że nieraz nie ma gdzie odpocząć, a o ciszy i samotności nawet i mowy być nie może.

Anusia zamysliła się na chwilę, jak gdyby rozważając o prawdziwe słów brata.

Później nadeszła pani Orzelska i całe gronko przeszło do okrągłej, obsadzonej krzakami leśszczyzny altanki, do której służący wniósł stół i zastawił na nim podwieczorek. Niezadługo nadszedł po poobiedniej drzemce i pan Orzelski.

Władysław czuł potrzebę większego ruchu, w którymby mógł uczuć w końcu fizyczne zmęczenie, tak rozkoszne na wsi. Po podwieczorku wybrał się więc na daleką przechadzkę w pole i doszedł aż do lasu, widniejącego poza wioską. Zrobił co najmniej dobrych osiem wiorst i powracając do domu już późnym wieczorem, wyczuwał całą rozkosz takiego zmęczenia. Był przytem niby upojony powietrzem wiejskim, zapachem zbóż, oraz widokiem zachodzącego wspaniale słońca, po którym żarzyła się jeszcze na widnokręgu wstęga gasnącej purpury.

— Jakże to jednak wszystko cudne, zachwycające i jak niewymownie spokojne!..—myślał

sobie w duchu. Myśl o Warszawie wydała się dlań teraz nienawistną.

Nazajutrz od rana towarzyszył Władysław ojcu w lustracji gospodarstwa; był więc na gumnie, w stodołach, w stajniach, w oborze i mógł powziąć zdanie o zmianach, jakie zaszły od przeszłego roku w stanie inwentarza. Lecz rzecz dziwna: chociaż zajmowało go wszystko, co miało jakakolwiek bądź styczność z gospodarką, chociaż lubił zajęcia wiejskie, a za końmi wprost przepadał — tym razem jednak czuł się jakby roztargniony i nieobecny uwagą przy tych rzeczach. Obojętniej niż zwykle poklepał ręką szyję pięknej „Smily“, która zarżała do niego radośnie i wyciągnęła głowę przez otwór drabinki w klatce. Słuchał objaśnień ojca co do przebudowania stajen, ale i w połowie planu, dośły prostego zresztą, nie zrozumiał i na jego pytanie w tej kwestyi dał jakąś wcale niestosowną odpowiedź.

— Ale bo ty nie uważasz! — zniecierpliwiał się pan Orzelski.

Władysław ocknął się — i schwytał swą myśl na gorącym uczynku: malowała mu ona głębokie, piwne oczy i bujne włosy ciemno-kasztanowe.

Więc przy końcu obiadu odezwał się do ojca:

— Państwo Roztworowscy przypominali wczoraj coś o zaległej wizycie rodziców, a imnie by może wypadało być u nich po przyjeździe. Możemy się dziś wybrać?

— Aha, dobrze żeś mi to przypomniał — odrzekł pan Orzelski — ja mam teraz masę pracy przy burakach i w tym tygodniu nie mogę z domu się ruszyć. Ale możeby matka pojechała dziś z wami — tu spojrzał pytająco na panią Orzelską:

— Czy chcesz, duszko?

— Trochę mnie dziś boli głowa — odrzekła pani Orzelska — i lepiej będzie, jak oddamy wizytę oboje razem. A Władek i Anusia — jeżeli chcą — możeby pojechali dziś sami.

— O dobrze! dobrze! — zawołała Anusia, zrywając się z krzesła i podbiegając do matki — dla mnie to byłaby taka przyjemność! Niech tatuś nam pozwoli!

— A no — to kaź, Władku, Wasylowi założyć do kabrioletu „Zazulę i „Rusaka“, a niech tylko nie bierze angielskiej upręży, bo w niej „Rusak“ jeszcze nie chodził.

W godzinę potem młode rodzeństwo zjeżdżało z góry Orzeszkowieckiej.

Wioska rozłożyła się malowniczo na dnie głębokiego wąwozu, prawdziwie podolskiego „jaru“ i świeciła białymi lepiankami, ukrytymi nawpół w zieleni wiśniowych sadków. Dwór stał tuż pod boczną wyniosłością jaru i na tę wyniosłość wspiął się stary sad owocowy, przecięty wzdłuż alejami drzew leśnych. Z przeciwległej wyżyny wąwozu ten dwór biały i ten pnący się piętrami ogród wyglądał bardzo malowniczo.

Gdy kabriolet zajeżdżał przed ganek, wybiegli służący, od którego dowiedziano się, że pan wyjechał gdzieś w sąsiedztwo, ale niezadługo zapewne wróci. Panny znalazły coś do poprawienia w domowych swych strojach i wpuściły do siebie Anusię, Władysława przyjęła pani sama.

Po wymianie pierwszych powitań i po oświadczeniu ze strony Władysława ukłonów od rodziców, pani Roztworowska zaproponowała przechadzkę po ogrodzie, w którym o tej porze było już cienisto i niegorąco. Szli szeroką ulicą grabową, sadzoną już na pewnej wyniosłości grzbietu, z kąd roztaczała się piękna perspektywa na położoną dużo niżej na dnie jaru wioskę.

Zaczęła wypytywać go o życie młodzieży uniwersyteckiej, o jej pracy, o ideałach życiowych i o stosunku jej do wiary. Pytania stawiane były przez nią w taki sposób i takim wyrażone tonem, iż Władysław uczuł od razu, że wywołała je nie chęć jedynie nawiązania zwykłej konwencyonalnej rozmowy, lecz jakiś węzeł wewnętrzny, łączący jej serce z tą kwestyą. Domyślał się łatwo, że ta nieukończona w żalu matka ma zawsze obecnych w swej myśli swoich umarłych, i chociaż ich straciła, pragnęłaby oto się dowiedzieć, czemu byli w tej chwili moralnie i duchowo ci młodzieńcy, pragnęłaby

z odpowiedzi jego złożyć rys po rysie fizyonomię duchową swych synów, których rysy zewnętrzne i postacie miała przed oczami zawsze.

Zrozumiał to i czując jakąś niewytłomaczoną sympatję ku tej cichej kobiecie i głęboki szacunek dla jej żalu, starał się w odpowiedziach swoich na jej pytania w taki sposób odmalować duchową fizyonomię młodzieży, aby podnieść i uwydatnić wszystkie rysy dodatnie, zaś ujemne złagodzić i zatrzeć. Czuł jednak, że postępując w ten sposób, pomimowoli i siebie, jako jednego z tej młodzieży, maluje w barwach jaśniejszych i sympatyczniejszych, niż jest w istocie. Spostrzegł to — i uczyniło mu się przykro. Nie wiedział, jak ma wyjść z tej fałszywej sytuacji.

Pani Roztworowska jednak była mu wdzięczną za takie jego słowa. Mówiąc w ten sposób, Władysław w istocie wykazał bezwiednie wielką subtelność uczuć. To bolesne i przeczulone żalem macierzyńskie serce wszelki wyraz mniej łagodny i ostrzejszy, wszelką ciemniejszą plamę odczułoby boleśnie, jako ujemną moralną pamięci swych niazapomnianych. A teraz duchowemu ich wizerunkowi słowa Władysława dodały w jej oczach jakiegoś blasku i aureoli.

Była tem bardzo ujętą.

Odezwała się w końcu:

— Bardzo, bardzo dziękuję panu za wszystko, co pan mi powiedział. Niech pan wierzy, że jestem panu serdecznie życzliwą.

Podala mu rękę, którą on ucałował z synowskim niemal szacunkiem.

Tymczasem nadeszły panny, prowadząc ze sobą Anusię. Panna Karola powitała gościa uprzejmie, z tym samym wszakże wyrazem pewnej surowości w twarzy, który jej nigdy nie opuszczał. Panna Zofia za to była uśmiechnięta i twarz jej świeciła żywym rumieńcem.

Wkrótce panią Roztworowską odwołała służąca do gospodarstwa i młodzież sama pozostała w ogrodzie.

Panna Karola ujęła Anusię pod rękę i poszła naprzód aleją, tłumacząc jej zasady rysunku, przy którym spędzała po parę godzin dziennie i oddawała się temu zajęciu z zamiłowaniem. Władysław z panną Zofią szli za nimi.

— Wypoczął pan już trochę po pracy naukowej? — zapytała, patrząc nań piwnymi swemi oczami, w których malowało się w tej chwili żywe zajęcie.

— Nie byłem naprawdę zanadto przeciążony nauką — odparł z uśmiechem Władysław — egzaminy nie są zbyt trudne i żeby je złożyć, dość kilku godzin codziennej pracy. Ale byłem za to ogromnie rozstrojony i wyczerpany nerwowo i w istocie bardzo już potrzebowałem wypoczynku na wsi.

— Czy pan lubi miasto?

— Bardzo nie lubię — męczy mię ono i drażni. Wśród gorączkowego ruchu wielkomiejskiego nerwy są w ciągłym napięciu i ażeby się uspokoić, potrzebują samotności nieraz i ciszy, a o tę w dużym mieście nie łatwo.

— Tu chyba będzie pan miał ciszy i spokoju aż nadto. W naszej okolicy — dodała po chwili — życie towarzyskie jest rozwinięte bardzo mało, rzadko się wyjeżdża i mało kogo przyjmuje u siebie. Zebrań liczniejszych i zabaw wcale nie ma. Czy uwierzy pan — rzekła z uśmiechem — że w zeszłej zimie raz jeden tylko w karnawale tańczyliśmy u państwa Zadworskich w Hołmińcach.

— A lubi pani tańce?

— Ogromnie! szczególnie mazura. Tańczyłabym, co się zowie — do upadłego. Ale tak rzadko mamy tu do tego sposobność... Zresztą, umiem się zastosoować do okoliczności i jeżeli tu tak trudno o tę przyjemność, to trzeba umieć się jej wyrzec. A pan dużo tańczy?

— Nie tańczę prawie wcale. Taniec, szczególnie wirowy, szkodzi mi i nie uczyłem się nigdy naprawdę tańczyć. Gdybym mógł umiał — tańczyłbym zapamiętale. Jednak rzeczywiście jaka to rzecz smutna, że pani tak lubiąc tę rozrywkę, nie ma możliwości używać jej częściej. W pani wieku to takie naturalne, że staje się

wprost niemal potrzebą. Musi się też pani nieraz bardzo nudzić, szczególnie w zimie.

— O nie! — zaprotestowała żywo panna Zofia — ja nie nudzę się nigdy i nigdzie, tem bardziej w domu i na wsi. Ja nawet nie rozumiem, jak to ludzie mogą się nudzić, bo przecież każdy ma swoje zajęcia i jakieś obowiązki. Praca obroni każdego od nudy, a sama przez się jest rzeczą tak miłą, że w braku przyjemności i rozrywek powinna wystarczyć człowiekowi. Dla czego się pan uśmiecha? Czy pan nie wierzy, że i ja mam tu także swoją pracę i swoje zajęcia, chociaż bardzo skromne i zwykłe?

— Owszem, wierzę — odrzekł z uśmiechem Władysław — dziwi mię tylko, że takie poważne słowa wychodzą z ust tak młodzieńkich jak pani.

— A czy pan sam na sobie nie doświadczyl tej prawdy, jak praca jest miłą i jak niezbędną dla naszego szczęścia?

— Że bywa miłą, to wiem, bo przecież różne są zajęcia, i takie, które odpowiadają naszemu zamiłowaniu, i takie, które wykonywamy tylko z konieczności. Nie myślę jednak, żeby praca była nieodzownym warunkiem naszej szczęśliwości. Wszelka praca stanowi wysiłek fizyczny lub umysłowy, a wysiłek wywołuje w końcu ból. Jest więc praca w skutkach swoich złem i przekleństwem, odziedziczonym po praocju Adamie.

— To chyba tylko jaka bardzo ciężka i bardzo niemiła dla nas praca jest złem — odpowiedziała panna Zofia, wysłuchawszy uważnie słów Władysława, lecz widać było, że te jego słowa zdziwiły ją nieco. — Czyż naprawdę panów uczą na uniwersytecie tak ujemnie określać pracę jako ból i jako przekleństwo tylko? A ja myślałam — dodała po chwili z jakimś dziwnym niby odcieniem rozżalenia w głosie, że tam was uczy kochać ją i w świetle nauki dostrzegać dobroczynne jej skutki, których ludzie proszą nie zawsze mogą dostrzedz i zrozumieć.

Mówiła to z wielką prostotą i szczerością, tak że Władysław pomimowolnie się zmieształ, szczególnie zauważywszy ton dziwny, jakim te wyrazy zostały przez nią wyrzeczone. Czuł, że zanadto przesadził w swoim określeniu pracy i że nie było ono zupełnie zgodne z jego własnym przekonaniem.

Trzeba było błąd poprawić i złagodzić wywołane przezeń wrażenie.

— Tego nas nie uczą — odrzekł więc po chwili — że praca istotnie jest sama w sobie złem, owszem, nauka, będąc sama wynikiem pracy umysłowej, nietylko jej nie potępia, lecz przyznaje olbrzymią praktyczną doniosłość pracy w rozwoju cywilizacji wszechświatowej. Cofam więc poprzednie moje słowa, tem bardziej, że uraziły one panią. Wyrzekłem je bez namysłu.

Dokonawszy tego bądź co bądź upokarzającego aktu wyznania nielogiczności swoich słów poprzednich, spojrzał w jej oczy, pragnąc dostrzedz w nich jakiś wyraz rozgrzeszenia.

Lecz panna Zofia miała spuszczone oczy, rozważając widocznie powtórne jego określenie doniosłości pracy i jak gdyby nie zwróciła uwagi na jego chęć przeproszenia.

Odezwała się więc po chwili:

— A czyż tylko, biorąc praktycznie, możemy nazywać pracę dobrodziejstwem dla ludzi — a czy moralnie ona nie uszlachetnia i nie czyni lepszym człowieka?

Podniosła przy tych słowach na niego swoje głębokie, piwne oczy, w których zniknęły świecące poprzednio iskierki radosnego ożywienia, a natomiast był jakiś wyraz głębszej zadumy.

A on, utonawszy wzrokiem w tych głębokich, zamysłonych nieco oczach, odpowiedział bez namysłu:

— Być może, że ma pani zupełną słusność.

I po chwili dodał z wyrazem szczerzej otwartości:

— Wyznam pani, że dotąd mało o tem myślałam.

A ją ujęła ta jego szczerść. Spojrzała na niego powtórnie, a tym razem w jej źrenicach budzić się poczęły znów jakieś żywsze, świecące iskierki.

— Ale pan pomyśli nieraz o tem, prawda? Zobaczy pan, że w końcu dojdzie pan do tego samego co i ja przekonania.

Przeszli przez ten czas całą aleję i zatrzymali się u furty, wiodącej w pole. Odsłaniał się ztąd przepyszny widok na wawóz, na strumień, wijący się na dnie jego, na siedzące po obu stronach białe chatki, wreszcie na dalsze zarośla, przechodzące z wolna w kędzierzawy las grabowy.

— Niechno pan spojrzy, jaki piękny ztąd widok — odezwała się panna Zofia. — Czy widzi pan ten biały kamień na wzgórzu? Jest to cel i kres codziennych niemal naszych wycieczek z Karolcią, a czasem i mama nam towarzyszy. Karolcia słicznie odmalowała cały ten jar i te zarośla.

— Czy mógłbym prosić panią o łaskawe udzielenie mi tego widoku? — zwrócił się Władysław ku pannie Karoli — nie jestem wprawdzie znawcą malarstwa, ale bardzo je lubię i sam dawniej próbowałem malować, chociaż były to tylko próby dziecinne.

— I ja także traktuję to zajęcie zupełnie po dyletancku — odparła panna Karola — i jeżeli nie będzie pan ostrym krytykiem, to pokażę panu moje kartony po powrocie do domu.

— Rozmawiajcie tu państwo sobie o malarstwie, a ja muszę wrócić do domu i wyręczyć mamusię w gospodarstwie — odezwała się panna Zofia. — A proszę nie zapominać, że się już zbliża godzina podwieczorku.

To rzekłszy, poczęła iść szybko ku domowi. Władysław patrzył długo za jej jasną postacią, odbijającą się na ciemnym tle drzew ogrodu, na powiewający biały jej fartuszek w paski, dopóki nie zniknęła na zakręcie ulicy.

Zwrócił się ku pannie Karolinie:

— Pani oddawna maluje?

— Uczylałam się rysunku jeszcze w klasztorze w Krakowie, i później brałam przez krótki czas lekcye malarstwa u tamtejszych profesorów. Przyznam się jednak panu, że trudno mi było nagiąć się do sposobu, w jaki wykładają się rysunki w szkole. Trzeba było całemi miesiącami kopjować figurki i główki, wiecznie te same linie i te same kształty. Zapewne, konieczne to jest dla wprawy, ale ja aż rwałam się do pędzla i kolorów. Od dziecka lubiłam ogromnie przyrodę, ale podziwiałam ją nie w kształtach, lecz przede wszystkim w harmonii barw i kolorycie. Wiem, że to jest jednostronne pojęcie przyrody i sztuki, lecz nie mając zarozumiałości zostania fachową artystką, poprzestaję na swoim zamiłowaniu i na swoim „rodzaju“, który mi wystarczy.

— A więc kartony pani są to przeważnie pejzaże?

— Prawie wyłącznie i maluję tylko z natury. Nasza okolica jest tak piękna i obfita w malownicze widoki, że wzoru do moich krajobrazów nie prędko zabraknie. Zresztą sprawia mi dużą przyjemność malowanie nawet tego samego krajobrazu przy innem oświetleniu, to jest w różnej porze dnia. Wreszcie pory roku, zima szczególnie, wyciska też odrębne piętno i nadaje krajobrazowi odmienny charakter.

— Niech-no pan spojrzy — dodała po chwili — w głąb tego wawozu, tam, gdzie się zaczynają zarośla; czy uważa pan, cała ta głąb jest wypełniona jakąś niby srebrno-sinawą mgłą, bardzo przejrzystą, a jednak dostrzegalną; uważa pan, jak pod tą przejrzystą gazą zacierają się rysy ostre skał i lasu i kształty zakrągłają się i łagodnieją. Albo te refleksy zachodnich promieni tam na tym lesie i na stoku wzgórza — jakie przepyszne! Zaróżowiony nieco po wierzchu las — niżej wydaje się granatowo-sinym, a ta rola w lewo od lasu, jest zupełnie fioletową.

Patrzyła w dal, przymróżony cokolwiek swoje długie, hebanowe rzęsy i twarz jej zwykle jak gdyby zmrożona, poczęła nabierać żywszego nieco wyrazu. Władysław uważał, że była w tej chwili prawdziwie piękną — pięknoscia klasycznych posągów, ożywiających się jakąś iskierką wewnętrznego blasku.

— Doprawdy, obserwując bliżej naturę — ciągnęła dalej — trzeba w końcu przyznać, że impresyoniści nie są całkiem dalecy od prawdy.

To widzenie przyrody w świetlnych i barwnych plamach, zharmonizowanych ze sobą doskonale, jest jednak prawdziwe i tkwi w samej naturze, nie zaś jedynie we wrażliwych na kolor oczach artysty.

— Ale bo też oni zanadto już przesadzają — odezwał się Władysław — plamy są w nich nieraz krzyżące-jaskrawe i nie zharmonizowane wcale z taką łagodnością, jak w przyrodzie.

— A ten łan pszenicy pod lasem jak pięknie złoci się w słońcu i jak słicznie odbija od cieni jaru — zawołała Anusia.

— W istocie — rzekła panna Karolina — jest to przepyszny kontrast światła i cieni. Dla czego się pan śmieje? — zwróciła się do Władysława — siostra pana ma dużo poczucia piękna w przyrodzie, uważałam to już nieraz i gdyby zechciała, to z dużą przyjemnością udzielałabym jej początków rysunku. Czy dobrze — Anusiu?

— Jakaś ty dobra, Karolciu! — zawołała z ożywieniem Anusia — bardzo, bardzobym chciała malować kiedy takie piękne widoki, jak ty. Ale — dodała, posmutniawszy nagle — nie wiem, czy mamusia pozwoli.

— Będziemy ją prosili o to — odezwał się wesoło Władysław, któremu zabłysła myśl, że mógłby wówczas częściej towarzyszyć siostrze do Orzeszkowic.

— A teraz proszę państwa do pokoju — rzekła panna Karola — już pewnie gotowy podwieczorek i czekają na nas.

I poczęli iść grabową ulicą z powrotem ku domowi.

Pana Roztworowskiego jeszcze nie było, a ponieważ już zbliżał się wieczór i państwo Orzescy mogliby być niespokojni, wkrótce więc po podwieczorku Władysław i Anusia pożegnali gościnne gospodynie i ruszyli z powrotem. Przy kolwrocie wiejskim spotkali powracającego z sąsiedztwa pana Roztworowskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z RZYMU.

W końcu Lipca.

Od strasznej rzeczy rozpoczynamy: od trzęsienia ziemi... Wulkan Etna rozpoczął znowu swoją działalność, poprzedzoną silnym trzęsieniem ziemi, które uczuć się dało głównie w północnych Włoszech. Według doniesienia z Sycylii, d. 19 b. m. o godzinie 8-ej rano słyszeć się dał głuchy huk podziemny, poczem z krateru Etny buchnął olbrzymi słup dymu, kamieni i piasku. Za chwilę połała się lawa, której strumienie nie zagrażały na razie sąsiednim wioskom, omijając je bowiem, spływały ku morzu. Z każdą jednak chwilą wzrastał w przerażający sposób niszczący żywioł; lawa wytryskała z 14 co najmniej kraterów, które się utworzyły na skłonie góry. Główny krater zwiększył się do przerażających rozmiarów. Nastąpiła noc jasna i ciepła. Ludność okoliczna przepędziła ją pod gólem niebem, nie śmiejąc wchodzić do domów. Olbrzymie słupy ognia, strzelające do niezwykłej wysokości, oświecały całą okolicę. Nad ranem można było stwierdzić, że cały potok lawy skieruje się ku miastu Treccastani, leżącemu u stóp Etny, od strony południowej. W Rzymie pierwsze wstrząśnienie uczuć się dało o godzinie 2-ej m. 20 po południu, największej siły dosięgło po upływie 25 sekund i w tym stanie trwało 6 sekund. Trzęsienie szło od południowego zachodu ku północo-wschodowi. W wiecznym mieście obeszło się bez ofiar w ludziach, ludność jednak długi czas zostawała pod wpływem panicznego strachu. Na niektórych budynkach powstały rysy, kominy spadały z dachów. Z nowych budynków najwięcej ucierpiał kościół św. Laury, w którym spadła balustrada, oraz gmach ministerjum spraw zagranicznych, którego soia-

ny popękały. Na nieszczęście trzęsienie dało się odczuć również na zabytkach starożytności, czyniąc szkody na forum, termach Karakalii-Kolosseum.

Ojciec św., który w chwili trzęsienia zażywał siesty, po pierwszym wstrząśnieniu podniósł się, podszedł do klęcznika i ujął różaniec w dłonie. Po chwili rozesłał służących do różnych punktów Watykanu, a gdy powrócili, pytał: „Czy mamy nieszczęście jakie do oplakiwania?“ „Zdaje się, że nie.“ „Podziękujmy za to Opatrzności.“ Z rozkazu Ojca św. sekretarz stanu wysłał z Watykanu w godzinę po trzęsieniu polecenie, aby we wszystkich kościołach odprawiono nabożeństwo.

Nikt z mieszkańców Rzymu życia w tej godzinie nie stracił, przeciwnie, dzięki trzęsieniu ziemi, ludność wiecznego miasta powiększyła się o jednego obywatela, którego matka, uboga handlarzka jarzyn, przerażona trzęsieniem, urodziła przed gmachem zarządu miejskiego. Burmistrz Rzymu polecił, aby urodzone w tak niezwykłych okolicznościach chłopię wychowywane było na koszt miasta.

W tych czasach dokonano wykopalisk na Forum Romanum bardzo ciekawych. Nie ma jeszcze roku, jak minister oświaty Bacelli wpadł na szczęśliwy pomysł rozkopania pewnej części Forum i otwarcia dalszych kart tej księgi dziejowej, dostatecznie jeszcze nie wyjaśnionej. Z wszystkich zabytków, jakie wyszły teraz na jaw, żaden nie ma takiej wartości, jak kamień, pokryty bardzo archaicznym napisem, odnaleziony pod tem miejscem, gdzie według tradycji, zresztą spornej, pogrzebiony był Romulus. Niestety — jak zwykle bywa w podobnych razach — górna część prostokątnego kamienia jest oderwana. Niemniej jednak rzymscy archeolodzy zabrali się natychmiast do odczytania prastarych liter, aby odgadnąć znaczenie napisu, będącego jednocześnie najstarszym pomnikiem językowym Romy.

Profesor Ceci z uniwersytetu rzymskiego ogłosił w tych dniach badania swoje nad tym napisem, porównawszy go z dyalektem oskim i umbryjskim. Jego zdaniem, kamień wyszedł obecnie na światło dzienne po 2289 latach, gdyż prawdopodobnie rozłupany był i porzucony w czasie pożaru Rzymu przez Gallów w r. 300 przed Chrystusem. Powstanie napisu jest oczywiście starszem, odnieść je należy do VI lub VII wieku przed Chrystusem, a więc do epoki królów.

Tej epoce odpowiadałoby też znaczenie napisu, który zdaje się zawierał rozporządzenie królewskie (Numy Pompiliusza?) co do składania ofiar.

Profesor Ceci próbuje odtworzyć cały napis, aby wykazać, iż wskazywał przepisy co do miejsca, czasu i zwierząt ofiarnych, jakie miały być używane. Wymienione są tu dwa urzędy kapłańskie *rex sacrificulus* i nieznany dotąd *calator*, który był zapewne kapłanem niższego rzędu.

W dniu 26 Lipca sądzona będzie w Wenecji przed sądem przysięgłych sprawa dość sensacyjna ze względu na osoby, które stawać będą przed sędziami. Główna bohaterka, awanturница ks. Trubecka, otruła się w więzieniu w Berlinie w jesieni roku zeszłego. Niejaki Romuald Giedroic, nie noszący tytułu książęcego, nie mógł być odszukany, choć także jest wmieszany w tę sprawę. Owa ks. Trubecka, zdaje się Belgijka z pochodzenia, sfałszowała przed laty swój akt urodzenia w Wenecji, aby wyjść w Genewie za ks. Trubeckiego. Chodziło jej o to, aby ukryć swoje pochodzenie, nazwisko i okoliczność, iż była rozwiedziona z niejaki Feliksem Prevot. Pomagali jej w uzyskaniu fałszywego aktu urodzenia jej przyjaciółka księżna Laura Bauffremont, także awanturница, znana w Krakowie przed laty kilkunastu, gdzie kilka lat spędziła, z domu Leroux, oraz Giedroic i niejaki Ferrant, kupiec z Florencji. Ślub ks. Trubeckiej odbył się w r. 1896 bardzo uroczysto w Genewie. Po ślubie ks. Trubecki dowiedział się o przeszłości swojej małżonki, opuścił ją i odebrał sobie życie w Warszawie. Cała ta sprawa nie byłaby wyszła na jaw, gdyby ks. Trubecka nie wytoczyła

procesu rodzinie męża, żądając 100.000 rubli, jako należności spadkowej. W obec tego, rodzina zmarłego rozpoczęła śledztwo, a gdy główna, jak powiedzieliśmy, bohaterka otruła się, odpowiadać będą dzisiaj tylko jej współnicy. Laure Leroux, księżnę Bauffremont (rozwidzoną od dawna z mężem) aresztowano w Lozannie i wydano sądom włoskim.

Z Neapolu donoszą, iż zarząd miejski w Aver-sa postanowił wystawić pomnik, poświęcony pamięci słynnego kompozytora muzycznego Cimarosa, otrutego, jak chce podanie ludowe, w d. 11 Stycznia r. 1801 z rozkazu królowej Karoliny neapolitańskiej. W r. 1789 Cimarosa otrzymał wezwanie do Petersburga, gdzie w ciągu czterech lat napisał kilka oper. Ostry klimat północy zmusił kompozytora włoskiego do opuszczenia dobrze uposażonego stanowiska kapelmistrza Nadwornego i powrotu w strony rodzinne. Na zaproszenie cesarza Leopolda II-go zatrzymał się Cimarosa w Wiedniu, gdzie objął po Salierim batutę kapelmistrza. Tu wystawił swe arcydzieło „Il matrimonio segreto“, które obiegło świat cały i dotąd utrzymuje się stale na scenach włoskich. Po powrocie do ojczyzny, wnie-szany do spisku przeciw Burbonom neapolitańskim, został skazany na śmierć w r. 1798, na prośby jednak wielu dworów europejskich, ułaskawił go król Ferdynand. Następnie Cimarosa miał zamiar udać się ponownie do Petersburga, ale w Wenecyi zachorował i umarł. Niespodziewana śmierć ulubieńca Włoch zrodziła przypuszczenie, iż go otruto. Obawa następstw, jakie wieść taka wywołać mogła, skłoniła rząd wenecki do publicznego oświadczenia, że Cimarosa był leczony przez Picciolego, lekarza nadwornego Piusa VII-go, i że umarł śmiercią naturalną na raka w żołądku. Budową pomnika zmarłego przed stu laty kompozytora zajmie się komitet z Józefem Verdim na czele.

W. D.

LISTY MARTY DO MARYI

przeczynek do kwestyi kobiecej

podług
Pawła Heysego.

skreśliła
S. W.

(Dalszy ciąg).

LIST V.

d. 13 października, wieczór.

Bardzo mi było przyjemnie najukochańsza przyjaciółko, że mój kochany małżonek i w Twoich oczach łaskę znalazł, pomimo że nie jest pięknym mężczyzną „w całym tego słowa znaczeniu“. Gdybyś go jednak słyszała mówiącego, zrozumiałabyś że mógł od pierwszej chwili moje serce na zawsze pozyskać.

Pochlebia to Twojej przenikliwości że z fotografii odgadłaś jego charakter: siłę, dobroć i szlachetność.

Ty właśnie jako lekarka, jesteś znawczynią dusz, i rozumiesz nie tylko dyagnozę cielesnego ustroju organizmu.

Tak najukochańsza, mąż mój jest rzadkim człowiekiem i posiadając go jest niebiańską nagrodą za wszystkie cierpienia jakie przeszedłem.

Opowiem Ci w krótkich słowach o naszym poznaniu.

Bywałam w Berlinie na odczytach, które były dla mnie wytnieniem po męczącej lekcji w szkole handlowej.

Na jednym takim wieczorku miał obcy lekarz mieć odczyt o „stosunku woli do naszego nerwowego życia“. Treść mnie bardzo zacieka-

ła i poszłam wcześniej na odczyt z jedną moją znajomą.

Pierwszy występ mówcy niewiele obiecywał, powiedziałam sobie, że w wyższym pensjonacie naszym nie zakochałybyśmy się w takim nauczycielu.

Ale za ledwie pięć minut mówił, zajął mnie niezmiernie, a gdy po pięciu kwadransach skończył, siedziałam jak zahipnotyzowana, gdyż dźwięk jego głosu jeszcze ciągle brzmiał mi w uszach a jasne jego spojrzenie zdawało się mnie oblewać światłem i ciepłem.

Zwykle po odczycie pozostawali w sali panowie z komitetu ze swoją rodziną i wielu ich znajomych. Ja zawsze odchodziłam wcześniej dla oszczędności, ponieważ mnie skromna kolacja w domu mniej kosztowała. Tym razem zostałam z moją towarzyszką. Nie mogło mi się to pomieścić w głowie, że ten człowiek, który na mnie tak silnie wywarł wrażenie, w kilka dni wyjeżdża i ja go może już nigdy nie zobaczę.

Zostałam więc i kazałam sobie podać szklankę kawy i bułeczkę; usiadłyśmy w stosownym oddaleniu od towarzystwa zajmującego miejsce przy stoliku.

Rozmawialiśmy z zajęciem o tem cośmy przed chwilą słyszały, ja zastanawiałam się nad tem co było dla mnie nie jasnym, albo też z mojem zdaniem się nie zgadzało, i przytem nie spuszczałam oka z prelegenta, który w wesołej rozmowie to do tego lub owego się zwracał.

Witając się z dawnymi znajomymi w przejściu przez salę, zbliżył się do naszego stołu. Towarzyszka moja przemówiła do niego;—ja wylekłam się okropnie, sądząc że słyszał, com mówiła.

Lecz tak źle nie było; prelegent usiadł na krzesło naprzeciw mnie i wtedy zawiązała się żywa rozmowa, która i jego przykuła. Pożegnał nas dopiero, gdy trzeba było wracać do domu.

Przy pożegnaniu obiecał nam przysłać mały utwór Kanta, traktujący temat podobny do tego, jaki on w swoim odczycie wygłaszał: „Jak zapanować siłą rozsądku, nad naszym chorobliwym usposobieniem“.

Lecz zamiast przysłać książkę przyniósł ją sam. Gdy po trzech dniach musiał wyjechać w celu towarzyszenia bogatemu człowiekowi, który czując się chorym wziął go na towarzysza podróży, opuścił mnie już jako mój narzeczony.

Domyślasz się, że nie przed nim nie zataiłam, ani figłów z lat młodych, ani mojej biedy (piękna wyprawa, którą sobie sama szyłam, była już dawno wraz szafą sprzedana) moje niedokładne wykształcenie, i moją chęć do pracy umysłowej. Dodałam że może nie będę wesołą towarzyszką życia dla lekarza. Uśmiechnął się na to i powiedział, że i ja, jako żona lekarza w małej mieścinie, wielkiego losu nie wygram. Potem dodał, że bardzo miłe przeczuwa ze mną życie. Myśl o szczęściu gorącą łuną oblała mi lica i bez namysłu, z zamkniętymi oczyma, wskoczyłam w ciemnię, tak jak gdyby mi się wrota rajy otworzyły.

Nie pożałowałam tego przez ubiegły rok naszego wspólnego życia, chociaż dosyć często przy boku tego najlepszego, noszącego mnie na rękach człowieka, niedostatek mnie męczy; wiesz bowiem że nie jestem tak nienasyconie chciwą głupią kobietą, która szczęście przez grymasy albo wygórowane wymagania zaprawia gorczyczą. Brak mi teraz jedynie poważnej duchowej pracy. Moje serce siedzi przy suto zastawionym stole, a mój duch pragnie, jak przedtem tak i teraz. Może to jest choroba, ale ona trawi mnie, i nie da się uleczyć małymi uspokajającymi środkami. Pozwól to sobie jaśniej wytłomaczyć. Gdy wyszłam za mąż, powiedziałam mężowi że pragnę się kształcić i on mi tego nie bronił, lecz kształcić się systematycznie nie mogłam. Mąż nie mógł mi tyle swego życia poświęcić ile potrzebowałam. Jean Paul, jeżeli się nie mylę, powiedział; „różnica miłości obydwóch stworzeń w tem jedynie polega, że kobieta ciągle kocha, podczas gdy mąż jeszcze czemś więcej bywa zajęty“. Lecz uważam to za przypowieść,

która tylko w połowie, albo w trzeciej części jest prawdą.

Mój mąż był bardzo zajęty swoim zawodem i nie mógł się zanadto mną zajmować. Nawet w godzinach wypoczynku nie należał on do mnie w zupełności, gdyż myślał o pacjentach, a wieczorem po wizytach, był tak zmęczony, że nie miałabym chyba litości, żądając od niego, aby jeszcze myślał o mojem wykształceniu.

Nasze małe gospodarstwo, niewiele wymagało starań; szperałam więc w książkach mego męża. Były to po większej części książki lekarskie, których czytanie nie nęciło mnie. Były tam i dzieła historyczne, które ja już znałam, i filozoficzne, które w początku z wielką radością brałam do ręki, bo myślałam że nareszcie znalazłam klucz, który mi otworzy wrota do tajemnic świata, piekła i nieba. Lecz zaraz zauważyłam że ręka moja była za słabą do obrócenia tego klucza. Język, w którym większa część była pisana, dźwięczał w rodzaju tajemniczej mowy, i tylko tacy go sobie łatwo przylaszczyc mogą, którzy grecki i łacinę znają. Dziewcząt nie uczą myśleć poważnie, mówią że mózg nasz za słaby do tego. Tak jakby nawet najsilniejszy mózg od czasu do czasu duchowej gimnastyki nie potrzebował, aby trudniejsze zadania pojąć. Co się tyczy braku naturalnej logiki, o który nas posiadają mężczyźni, to i oni nie zawsze ten dar posiadają.

Nieraz ogarniała mnie rozpacz z powodu bezczynności. Aby wolne godziny wypełniać pogadanką z sąsiadkami, przez myśl mi nie przeszło, przedewszystkiem dla tego że żyliśmy bardzo w odosobnieniu. Zawód mego męża i nasze ograniczone środki nie pozwoliły nam brać udziału w towarzystwie. Żony profesorów, które przy okazji poznałam, mało mnie zajmowały. Pewna cierpka sztywność uczyniła je po większej części niemilemi, a przytem chętnie rozmawiały o swoich dzieciach i służących.

Gdybym sama dziecko miała! Może by to zaradziło od razu wszystkim moim nieokreślonym pragnieniom. Ponieważ to szczęście nie stało się dotąd moim udziałem, usiłowałam pracować, aby nie stać niżej od mego męża. Gdybym na uniwersytecie studjować mogła botanikę, chemię, fizykę lub jaką inną z nauk przyrodniczych, mogłabym przecież zdaleka brać udział w jego duchowym życiu! Pragnęłam zarobić aby ulżyć wydatkom domowym, czy to dając lekcje na pensyi, czy też dozorcując chorych, jak siostra miłosierdzia. Ponieważ mąż nie chciałam męczyć utyskiwaniem, wypowiedziałam je przed Tobą. Nadużyłam Twojej dobroci, lecz w przyszłości nie będę Cię już obarczać tak długimi listami. Ściskam Cię

Bądź zdrowa
Twoja Marta.

LIST VI.

19 Grudnia.

Piękny cichy całun śnieżny ściele się przed moim oknem. Mąż siedzi w swojej pracowni nad rozprawą naukową do tygodnika medycznego. Mnie zawsze dobrze gdy jestem blisko niego, nawet gdy drzwi są zamknięte. List twój leży na mojem biurku, więc cóżby mi jeszcze do wewnętrznego spokoju brakować mogło?

Z przyjemnością chwytam pióro, aby Ci donieść, że ostatni czas w szczęśliwym usposobieniu spędziłam.

Pytasz mnie, czy nigdy o tem nie pomyślałam aby pisać, tworzyć, jak to dzisiaj tysiące kobiet czyni.

Tak najukochańsza, ja o tem myślałam podczas zimy, gdy rozmowy tancerzy prawie na pamięć umiałam i gdy mnie zapach bukietów kotyljonowych znudził. Co prawda to niewiele się różniły nowelki kobiecą ręką pisane, te które czytałam w odcinkach i tygodnikach, od tego światowego życia. Ty potrafiłabyś także napisać nowelkę podług następującego przepisu. Weź młodego malarza, porucznika, inżyniera lub referendarza, zachwycającą młodą dziewczynę — córkę wysokiego urzędnika, generała

lub milionera i radcę, zostaw ich przez dwie godziny razem na balu, lub na ucztach sielskiej, w miejscowości kąpielowej, i pozwól im prowadzić rozmowę, o Ibsenie, Ryszardzie Wagnerze, którą oni uważają za bardzo dowcipną. Naturalnie młodzi pokochali się, lecz rodzice są okrutni, zjawia się nieznośny stary konkurent, następują łzy i rozpacz, gdyż spekulant myśli tylko o wielkim posagu. Nieszczęśliwy kochanek wyzywa go na pojedynek, ale bożek miłości nie dopuszcza do pojedynku i uszczęśliwia młodą parę. Te wszystkim znane żywioły, chodzących po świecie romansów kobiecych, dają się tak łatwo przez małe zmiany ubarwiać. A ponieważ publiczność lubi ciekawe powieści, to nie dziwnego, że nawet uzdolnione kobiety, starają się dogodzić gustowi publiczności. I ja także różne wewnętrzne walki przeszłam, zapragnęłam więc powiedzieć światu co ja cierpię. Dostawałam przecie z wypracowań zawsze jak najlepsze stopnie. Pisać umiemy przecie prawie wszystkie, pomimo że porządnie się czytać nie uczymy. Pewnego poranku, po szczególnie nudnym wieczorku usiadłam w dobrym usposobieniu i zaczęłam pisać moją pierwszą nowelę. Nie taką w zwyczajnym stylu, lecz satyryczno-humorystyczną, z której tyle jeszcze zapamiętałam, że jej bohaterką była młoda, dzielna dziewczyna, która chciała egzamin na nauczycielkę zdawać i pewnej zalotnej i próżnej córce bankiera, narzeczonego odbiła. Lecz młodzian wybrał po namyśle bogatą dziedziczkę, raniąc serce biednej wzgardzonej. Była to piękna galerja postaci, do których wzoru dostawali moi tancerze balowi.

Byłam bardzo kontentą z pierwszej mojej pracy literackiej i posłałam rękopism do redakcyi bardzo wziętego dziennika.

W przeciągu tych sześciu tygodni zanim odpowiedź nadeszła, układałam już w głowie plan do drugiego „studjum z życia“, gdyż tak skromnie nazywałam moje nowelki, czytając przytem dużo. Szczęśliwy wypadek wsunął mi do ręki dwie książki Ebner Eschenbach: „Borena“ i „Dzieci gminu“.

Gdy te dwa dzieła mistrzowskie przeczytałam, ogarnęła mnie rozpacz, i nareszcie pomyślałam o mojej własnej bazgraninie; zdawało mi się, jak gdybym obwieszona drogocennymi kamieniami weszła do towarzystwa, a dobry przyjaciel, przystąpiwszy do mnie, szepnąłby mi do ucha: jak też pani w takim stroju się tu pokazać może, powinnyby pani wiedzieć, że kamienie są fałszywe i złoto talmigoldem!

Wtem też mój rękopis wrócił. Sądziłam że w liście, który mu towarzyszył, mniej więcej to samo będzie. Lecz pisarz nie przeczuwał, że klejnoty nie były prawdziwemi. Chwalił raczej styl i zarys charakterystyczny, i żałując tylko, że ta tendencja nie jest odpowiednią do szpalt ich pisma, prosił o dalsze nadsyłki.

Byłam kontentą że zaraz na wstępie mi odmówiono, zanim bym publicznie mojej głupoty się wstydzili. Manuskrypt przespacerował

się do pieca, i ja na zawsze byłam uleczona z manii do pisania.

Dwa dni później.

Ostatni list został przerwany, wysłałam go nie przeczytawszy powtórnie. Boże Narodzenie już blisko, dużo zatem roboty na wigilję, ponieważ ja dla mojego kochanego męża różne niespodzianki szykuję. Ale nie bafty, które mi się nigdy nie wiodły. Przyszła mi w pomoc sztuka malarska. Wymalowałam mały serwis do śniadania, ponieważ ta ranna godzina jest najswobodniejszą chwilą z całego dnia.

Zaprosiliśmy gościa na Boże Narodzenie, nowo uzyskanego przyjaciela domowego, o którym Ci już dawno powinnam była donieść.

Młody L., który w dwudziestym drugim roku włożył kapelusz doktorski; po tak pracowitych studjach—filozofii i przyrody—zapadł ciężko na zdrowiu.

Pomysł no jak to się dziwnie ułożyło! On był na owym wieczorze na którym poznałam mego męża, pomiędzy słuchaczami, i przejął się tak głębokim wrażeniem o jego duchu i charakterze, że gdy choroba nerwowa u niego się rozwinęła, do żadnego z sławnych lekarzy nie poszedł, lecz przyjechał do mego męża, aby go na konsylium wezwać. Bogaty, pieszczony, od najwcześniejszej młodości był pozostawiony samemu sobie, i cierpiał na tak nazwaną słabość woli. Rozumiał on iż mu ścisła karność potrzebna, jeżeli chce wyzdrowieć, i że z pewnością nikomu chętniej posłusznym nie będzie, jak temu, jeszcze niesławnemu doktorowi, opiekunowi ubogich, którego znali już wszyscy w tem małym prowincjonalnem mieście.

Od czterech miesięcy jest tutaj, i okazał się jako najcierpliwszy i najpotulniejszy pacjent; wskutek czego polepszenie już się objawiło. Najgorsze symptomata neurastenji zaczynają niknąć, bóle nerwowe zupełnie ustały, melanholja się rozjaśnia, a fizyczne ćwiczenia, które mu mąż mój przepisał, nużą go tak zbawiennie, że braku pracy duchowej nie czuje.

Jest rzeczą niemal wzruszającą patrzeć jak wdzięczne spojrzenia na swego zbawcę rzuca. Jest zwykle naszym gościem w niedzielę. Z początku, kłopotalam się czy temu człowiekowi, przywykłemu do życia wykwiutnego, moja skromna kuchnia smakować będzie; lecz teraz nie lękam się już o to, ma on bowiem czarodziejski sposób chwalenia każdej potrawy, którą mu podają. Na bladej jego twarzy, okolonej długą czarną brodą, maluje się wesołość, jak na twarzy chłopca, zjadającego łakocie. Jeżeli potem rozmowa jego przejdzie na temat naukowy, oczy jego nabierają blasku jak oczy człowieka uczonego. Ale ja, jako jego druga matka, tylko palce podnoszę aby go od zanadto męczących myśli oderwać, i on znów zamienia się w wesołego młodzieńca, który nas bawi opowiadaniem o swojej ojczyźnie i młodości; bawi się z naszym kotkiem, i z pocieszną nieśmiałością zapytuje, czy może wiać po raz trzeci potrawy, która mu bardzo smakuje.

Sługa nasza, Kati, bardzo go lubi, a mąż mój go ceni, i ma wysokie pojęcie o jego umysłowych zdolnościach; zajmują go jego wiadomo-

ści z dziedziny fizyki i fizjologii i cieszy się zawsze, gdy ten upragniony gość wchodzi do naszego saloniku i pyta czy może zostać na herbacie?

Idla mnie jest także miłym gościem, najpierw dlatego, że mego Helmuta tak szczerze szanuje. Jeżeli na wiosnę jego kuracja się skończy i wyjedzie, to ja brak ten bardzo odczuję. Zwłaszcza że on w ostatnim czasie troszczy się o moje wykształcenie, za co mu wечно dziękować będę.

Doniosę Ci o tem w następnym liście. Nie chcę nadużywać Twojej cierpliwości, przesyłając Ci list tak długi.

Jakaś Ty szczęśliwa że dla swoich chłopców choinkę będziesz stroić! A przyslij mi gałązkę jamioluchy.

Twoja Marta.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MYŚLI.

Uczucie spali, czego myśl nie złamię.

A. Mickiewicz.

Nic dobrego, szlachetnego na tym świecie bez długiej boleści, bez długich trudów.

Z. Kraśński.

Szlachetność jest perłą, której nie można rzucić ni w pułk miłości, jak Kleopatra, ni w czarę zemsty.

Tenże.

Prawda jest najwyższą poezją, szumność jest pianą, z której kilka farb się dobywa, ale za pierwszym powiewem nikną, i po nich na wieki.

Tenże.

Cierń co mi zrani rękę,—nikogo nie zrani.

J. Słowacki.

Póki jesteśmy młodszy, wszystko jest przed nami.

Tenże.

Sposobność raz stracona nie wraca.

Tenże.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 2.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: J. E. ks. Wincenty Chościak Popiel Arcybiskup Warszawski (rysunek). — Biskupi-Jubilaci. — Na werendzie. (Pogawędka) przez ?? — Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Z Rzymu, przez W. D. — Listy Marty do Maryi przyczynek do kwestyi kobiecej podług Pawła Heysego, skreśliła S. W. (dalszy ciąg). — Myśli.

Dodatek obejmujący: *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 2. — Przegląd mód. 17 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja obiadu.

KORRESPONDENCA PARYZKA.

Przegląd Mód.

Paryż, d. 8 Sierpnia 1899 r.

Pałace promienie słońca wyludniają powoli mieszkańców nadsekwaniańskiej stolicy. Kto może, ucieka z gorących, żarem ziejących miejskich murów, ku powietrznym przestworzom górskich lub nadmorskich okolic, do wiejskich starych siedzib, lub willi podmiejskich, rozrzuconych po obszernych, wielkich, cienistych parkach, okalających Paryż. Czyż więc w takich warunkach atmosfery można mówić o innej modzie, jak o tej, która będzie zastosowaniem do obecnej chwili?

Kostiumy podróżne, letnie sukienki i kapelusze, kostiumy do kąpiel morskich, oto co jest na porządku dziennym mody w obecnej chwili, obok rozmaitych sukienek, płaszczy, parasolek, trzewików i innych akcesoryj niezbędnych, a przystosowanych do wszelkiego rodzaju sportów, jakie z zapalem uprawiają paryżanki.

O kostiumach podróżnych informowałam już w poprzedniej mojej korespondencji, dziś chcę zwrócić uwagę na kostiumy do kąpiel morskich przeznaczone.

Taki kostium powinien pozostać przede wszystkim skromny, bez żadnych efektownych ozdób, jak: falbanki, koronki, riuszki, wstążki i t. p. Materiał zwany „serge“ w czarnym kolorze, najlepiej odpowiada swemu zadaniu, jako kolor, trwałość materiału i swój przyzwoity, spokojny wygląd. Jednakże od kilku lat czarne kostiumy zostały zarzucone przez panie więcej eleganckie, natomiast wprowadzono kostiumy z lekkiej, białej, lub ponsowej flaneli lub serge'y, naturalnie nader szybko ulegające zniszczeniu, a nade wszystko do pewnego stopnia krzyżące, czyli ekscentryczne.

Zwykły kostium do kąpiel morskich składa się z majtek i bluzy, krótszej lub dłuższej, a nawet, jak tego roku moda każe, bluzy są tak długie, jak i majtki, obcisłe na biodrach, w pasie związane wełnianą szarfą.

Płaszcze, czyli „sortie de bain,“ są najczęściej używane z moltonu

białego w niebieskie lub ponsowe pasy, lub też płaszcze bawełniane z materiału „éponge.“ Dzieci noszą tenże sam fason kostiumów, tylko więcej wycięte i kratki.

Jako nakrycia głowy służą kąpielowe duże słomiane kapelusze, które najlepiej używać podczas kąpeli na przypiływie morza ku południowi, nad wieczorem zaś lub wczesnym rankiem, służyć mogą doskonale odpowiednie czapeczki.

Do wycieczek na łowienie krewetek i rozmaitych morskich ślimaków, tak dorośli, jak dzieci, ubierają się w krótkie trykotowe majtki, w płócienne pantofle, na tasiemki związane. Staniki są również trykotowe, a na wierzach majtek wkłada się krótką, moltonową, lub z serge'y wykonaną ponsową spódniczkę, co bardzo efektownie wygląda. Kapelusze słomiane z dużym rondem, wstążkami przybrany, stanowi niezbędną ochronę głowy.

Suknie na koncerty, wieczorne zebrania w kassynach, składają się przeważnie z lekkich, jasnych muślinów, w rozmaite desenie arabeskwanych, z bardzo modnych tego roku groszkowanych fularów „liberty,“ z jedwabnych, jasnych „taffetas,“ gładkich, z różnokolorowych etamin, rzuconych na jedwabną, stosownie dobraną podszewkę, nakoniec jedwabne muśliny i zawsze piękna „crépe de Chine,“ tworzą zachwycające lekkie tualety. Głównym przybraniem owych sukien są wążki aksamiutki i koronki, z których największym uznaniem cieszą się koronki „chiny Malines,“ „points d'Angleterre,“ koronki brukselskie i wspaniałe gipiury.

Poniżej opisuję dla interesowanych kilka pięknych modeli tego rodzaju sukienek i do nich zastosowanych kapeluszy.

Piękną, bardzo efektowną tualetę stanowiła sukienka, złożona z białego, jedwabnego muślinu i z jasno-zielonej, jedwabnej „taffetas.“ Staniczek z muślinu był cały marszczony, naszyty w kształcie V pliskami z zielonej „taffetas“ i wążkami, koronkowymi wstawkami koloru „bise.“ Spódnica składa się z tiuniki, wydłużonej w ząb i rzuconej na wysokiej falbanie z muślinu, zakończonego dużą riuszą z zielonej materii.

Jako zakończenie tej oryginalnej tualety, zastosowany był duży kapelusz ze słomki jedwabnej koloru „bise,“ przybrany białymi różami i czarnym aksamitem i parasolka z białego, jedwabnego muślinu, objęta koronką „bise,“ z pięknie wyrobioną rączką z opalu i strassu.

Przeznaczona dla młodej osoby, a również bardzo efektowną była sukienka z różowego fularu w biały groszek, przybrana wążkami

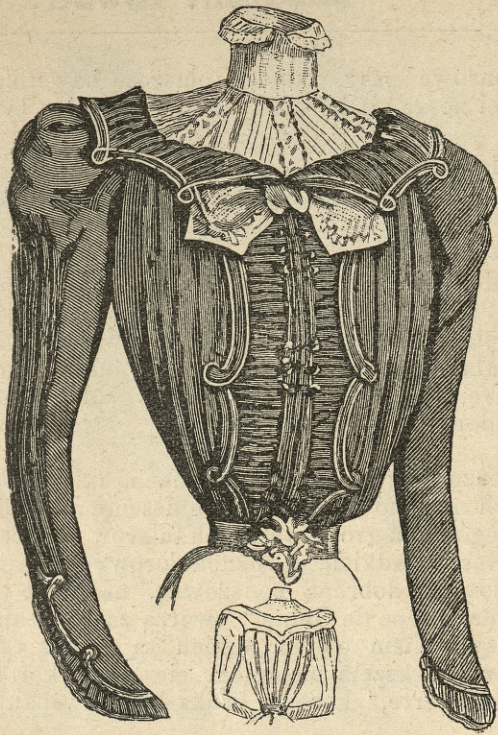


Nr 1. Ubranie z fularu „vieux-rose“ i „creme.“
(Opis w Bl. Nr 32).

Nr 2. Ubranie z materiału wełnianego, w kratę czarną z białym.
(Opis w Bl. Nr 32).

Nr 3. Ubranie z perłowego kaszmiru.
(Opis w Bl. Nr 32).

sukni z jedwabnego, różowego muślinu, na co wykonany był jako stanik, długi, wycięty w okrągłe zęby rodzaj gorsetu, wykonany z różowej mory. Duży, okrągły kapelusz z czarnej, ryżowej słomki, przybrany czarnymi, strusimi piórami i czarnym tiulem, dopełniał tej nad-



Nr 4. Strojny stanik do wizytowego ubrania

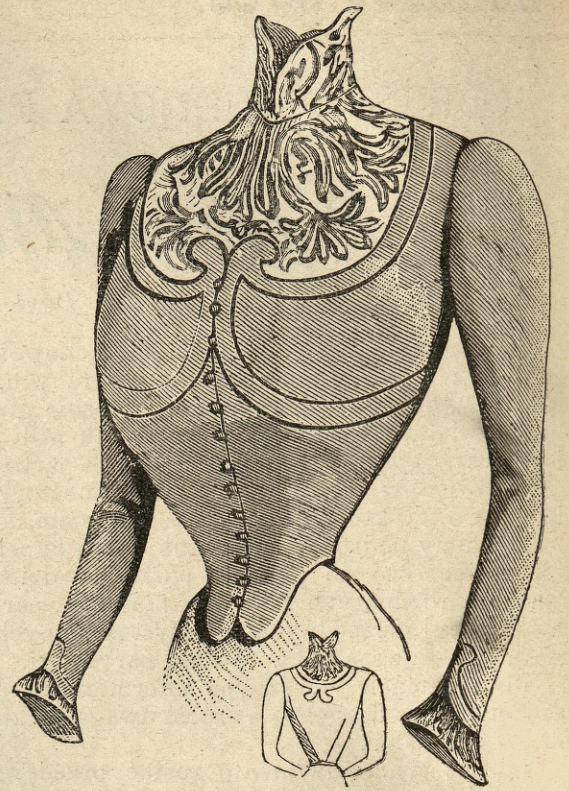
pliskami z białego atlasu, oraz druga z niebieskiego z białym fularn „liberty,” w połączeniu z białym, plisowanym, jedwabnym muślinem i białymi, wązkiemi wstawkami z koronki „cluny.”

Bardzo gustowną i dystygowaną tualetą była suknia z jasno-lila jedwabnego muślinu. Stanik marszczony z dużym kołnierzem, objętym szeroką, białą gipiurą, idącą przez całą długość stanika i przodu spódnicy, wykonanej z narzucaną tiunika, zakończoną dwoma małemi falbankami, naszytymi wązką, czarną aksamitką, której jest również i pasek wykonany. Całość bardzo ładna.

Bardzo oryginalny model składał się z całej



Nr 5. Płaszcz podróżny.



Nr 6. Stanik do spacerowej sukni.

zwyczajnie oryginalnej i ładnej tualety. Do bardzo szczęśliwego połączenia barw i gustu, należy tualeta ze srebrno-popielatego, jedwabnego muślinu, przybrana karczkiem z białego batystu i wąziutkich wstawek z koronki, zwanej „Malines.” Tiunika podłużna, rzucona na spódnicy ze srebrnego muślinu, zakończona falbanką z takiej samej, jak u stanika koronki. Kapelusz grał tutaj również dużą rolę, miał formę dużo dziś używaną „genre directoire,” duży, słomkowy, popielaty, przybrany kilkoma „choux” z białego, jedwabnego muślinu. Na taką tualetę, służącą do wieczornych zebrań, narzucają się lekkie, długie płaszcze lub peleryny, wykonane z czarnej, jedwabnej materii, z czarnego, granatowego, lub ponsowego



Nr 7. Płaszcz spacerowy.



Nr 8. Kostium angielski dla młodej osoby.

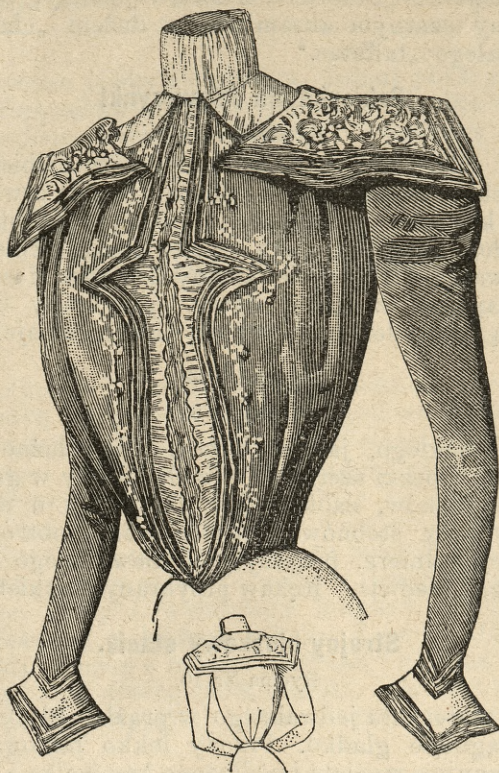
sukna, z podszewką i przybraniem z białego, lub stosownie dobranego, kolorowego atlasu.

Zapomniałam donieść w zeszłej korespondencji o wprowadzeniu do obuwia pewnej zmiany w zapięciu. Mianowicie: znikły małe, drobne guziczki, a natomiast pół-buciki i buciki, tak damskie, jak i męzkie, zapinają się na 3, 4, lub

jane w okrągłe zęby, wykończone białą wypustką, otwierają się na kamizelce plisowanej w poprzek. Wokoło wycięcia przy szyi, wyłożony zębato wykrajany kołnierz, także wykończony wypustką. Wycięcie wypełnia szmizetka z białego, jedwabnego muślinu. Rękawy plisowane wzdłuż, otwarte przy ręku, zakończone



Nr 8a. Suknia dla dziewczynki.



Nr 10. Strojni bluzkowy stanik.

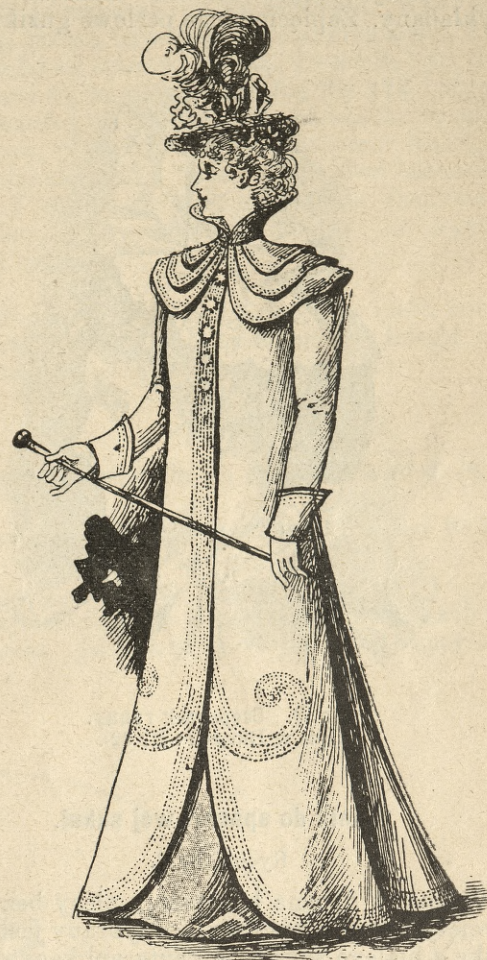
co najwyżej 5 dużych, pięknych guzików, naturalnie pod spodem przechodzi sznurowadło, które obejska nogę dowolnie. Woalki w kropki zostały zastąpione gładką, białą, lub czarną iluzją, oraz woalkami, w koronkowy deseń wykonanymi. A chustki od nosa doszły do śmiesznie mikroskopijnych rozmiarów, zaś umieszczenie znalazły w małych kieszonkach, zrobionych z brzoza, wewnątrz rękawa, w boku w żakietku, a nawet noszą je poprostu w otworze rękawiczki.

L. Ś.

Strojny stanik do wizytowego ubrania.

Rycina Nr 4.

Materyał jedwabny taffetas w niebieskim kolorze. Plecy i przody plisowane wzdłuż. Przody wykra-



Nr 9. Płaszcz letni.



Nr 11. Letni spacerowy kostyum.



Nr 12. Kostyum spacerowy dla młodej osoby.

są zębami z wypustką i plisowaną falbaneczką.

Płaszcz podróżny.

Rycina Nr 5.

Luźny, długi, z szarego płótna, lub surowego jedwabiu, wszyty w karczek, który przeciąga się jako epolety na rękawach. Rękawy koszulowe z małym mankietkiem. Kołnierz wysoki wykładany. Zapięcie: duże perłowe guziki.



Nr 13. Czepeczek ranny.
Opis w Bluszczu Nr 32).

Stanik do spacerowej sukni.

Rycina Nr 6.

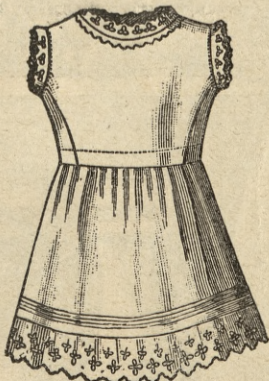
Wcięty, z dwoma boczkami, plecy bez szwu, wycięty okrągło koło szyi, przybrany jest szmizetką z białego sukna, pokrytą aplikacją w odpowiednim do stanika kolorze. Wokoło wycięcia, w poprzek stanika i na rękawach przy rękę stebnowane są szerokie plisy. Prócz tego rękawy, oszyte są falbaną z białego sukna, odpowiednią do szmizetki.

Płaszcz spacerowy.

Rycina Nr 7.

Potrzeba: 6 i pół mt. sukna podwójnej szerokości.

Materyał, sukno szaro-niebieskie. Plecy bez szwu, kłoszowato wycięte u dołu, tworzą luźne fałdy. Boczek szeroki, stebnowany na wierzchu, w stanie zachodzi na plecy i przymocowany jest dwoma guzikami. U dołu boczek i plecy, rozprute i zaokrąglone. Przody wcięte, przytrzymane patką. Kołnierz w kształcie potrójnej pelerynki, podsunięty jest pod drugi kołnierz aksamitny, zakończony zębem na plecach. Rękawy długie, wąskie, nisko zachodzące na ręce.



Nr 15. Spódniczka ze staniczkiem dla małej dziewczynki. (Opis w Bluszczu Nr 32).

Kostium angielski dla młodej osoby.

Rycina Nr 8.

Potrzeba: 7 mt. wigoniu podwójnej szerokości.

Materyał: cienki wigon w jasno-brązowym kolorze. Spódniczka bardzo wąska w górze, przybrana plisami z tego samego materyału. Wcięty zakieci wokół oszyty plisą. Plecy nieco dłuższe, z tyłu baskina bardzo krótka, klapy i kołnierz wyłożone białym jedwabiem. Rękawy bardzo wąskie, pod spodem biała, płócienna kamizelka z wysokim kołnierzkiem.

Kapelusz „canotier“ z żółtawej słomy, przybrany czarnym aksamitem, z dużym „choux“ z białego „taffetas.“

Sukienka dla dziewczynki.

Rycina Nr 8a.

Z fularu lub batystu białego w niebieskie grochy. Spódniczka z falbaną, bluzka otwarta na koszulce plisowanej z białego „taffetas.“ Wyłogi naszyte riuszką i podwiązane niebieską krawatką. Przyszycie falbany pokrywa riuszka.

Kapelusz z jasnej słomy, przybrany białą gazą, skrzydełkami i pękiem niezapominajek.

Płaszcz letni.

Rycina Nr 9.

Z cienkiego, jasnego sukna. Plecy luźne bez szwu. Boczeki szerokie. Przód, zapięty w górze na 6 guzików, zaokrąglony i otwarty u dołu, przybrany stebnowką. Stebnowany, potrójny, leżący kołnierz, przszyty do niewielkiego kołnierza „Medicis.“ Rękaw przybrany mankietem.

Strojny bluzkowy stanik.

Rycina Nr 10.

Z materyału jedwabnego w prążki. Plecy ma obciągnięte gładko. Przody lekko fałdowane, fantazyjnie wycięte i podłożone kamizelką z plisowanego, białego, jedwabnego muślinu. Wycięcie przy szyi wypełnia szmizetka z takiegoż muślinu. Duży, wykładany kołnierz, przszyty wokoło wycięcia, na plecach ma kształt marynarskiego, od przodu tworzy szerokie epolety. Przody i kołnierz przybrane są aplikacją, brzeżki oszyte pasmanteryjną, jedwabną taśmą. Długie rękawy zębątkiem mankietem nisko schodzą na ręce.



Nr 16. Koszula nocna.

Kostium spacerowy dla młodej osoby.

Rycina Nr 11.

Potrzeba: 14 mt. mt. alpaki lub płótna.

Z alpaki albo z płótna granatowego kostium, przybrany białymi, stebnowanymi plisami. Plisy ciągną się podwójnie w 5 centymetrowym odstępie z tej strony przodu i wokoło spódnicy. Stanik na plecach i na bokach do pasa, z przodu dłuższy i odsyty w rodzaju na wierzch przypiętej kamizelki (plastron), wyciętej w odstępach w potrójne ząbki. Kamizelka z obu stron, klapy, kołnierz, stanik wokoło, oszyte są stebnowaną, białą plisą. Taką plisą stanowi przybranie rękawów w górze i przy rękę. Szmizetka z białego muślinu. Kapelusz okrągły, przybrany białą gazą i egretą z krosów.

Letni spacerowy kostium.

Rycina Nr 12.

Potrzeba: 7 mt. piki podwójnej szerokości.

Z białej, grubej piki, przybrany stebnowanymi plisami z tegoż materyału. Plisy naszyte w zęby na spódnicy, po nad okrągłą falbaną, z tyłu wyższą, aniżeli z przodu. Staniczek z króciutką, w zęby wyciętą baskiną i szalowym, także zębątkiem kołnierzem, wykończony przy brzegach stebnowaną plisą. Szmizetka z muślinu jedwabnego wypełnia wyłożenie kołnierza.

Kapelusz okrągły z fantazyjnej słomy, przybrany udrapowaną gazą i egretą z rajskich piór.

Koszula nocna.

Rycina Nr 16.

Plecy proste, przód wszyty w długi karczek, ułożony w pośrodku w drobne zakładki. Berta z koronki z wszewką. Kołnierz stojący, oszyty wokoło falbaną i związany na wstążkę, szerokie rękawy ściągane.



Nr 14. Czepeczek ranny.
(Opis w Bl. Nr 32).

Koszula dla małej dziewczynki.

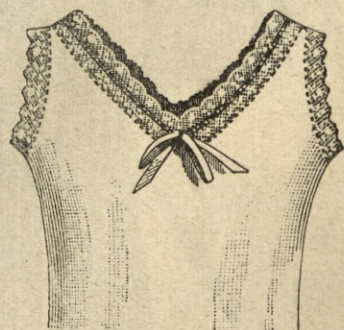
Rycina Nr 17.

Wycięta z przodu i na plecach w ząb, oszyta wstawką i koroneczką. Wstawka przewleczona wstążeczką.

Przepisy gospodarskie.

POTRAWA Z SOSEM PIECZARKOWYM.

Trzy oczyszczone kurczęta przekroić na połowę, do rondla włożyć trzy łyżki masła, drobno siekanej cebuli, dziesięć dużych, ładnych, pokrajanych pieczarek, przesmażyć je w masle, włożyć kurczęta, poddusić z jednej i drugiej strony, podlać trochę wody, posolić, popieprzyć, dogotować kurczęta do miękkości i wydać na stół, podając do tej potrawy drobno krajane kluseczki.



Nr 17 Koszula dla małej dziewczynki.

Obiad na Niedzielę.

1. Chłodnik.
2. Paszteciki w kruchem cieście.
3. Szczupak w majonezie.
4. Pomidory faszerowane.
5. Cąber barani z mizeryą.
6. Lody owocowe.